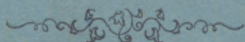


# BIAŁA GOŁĄBKA.

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

napisał

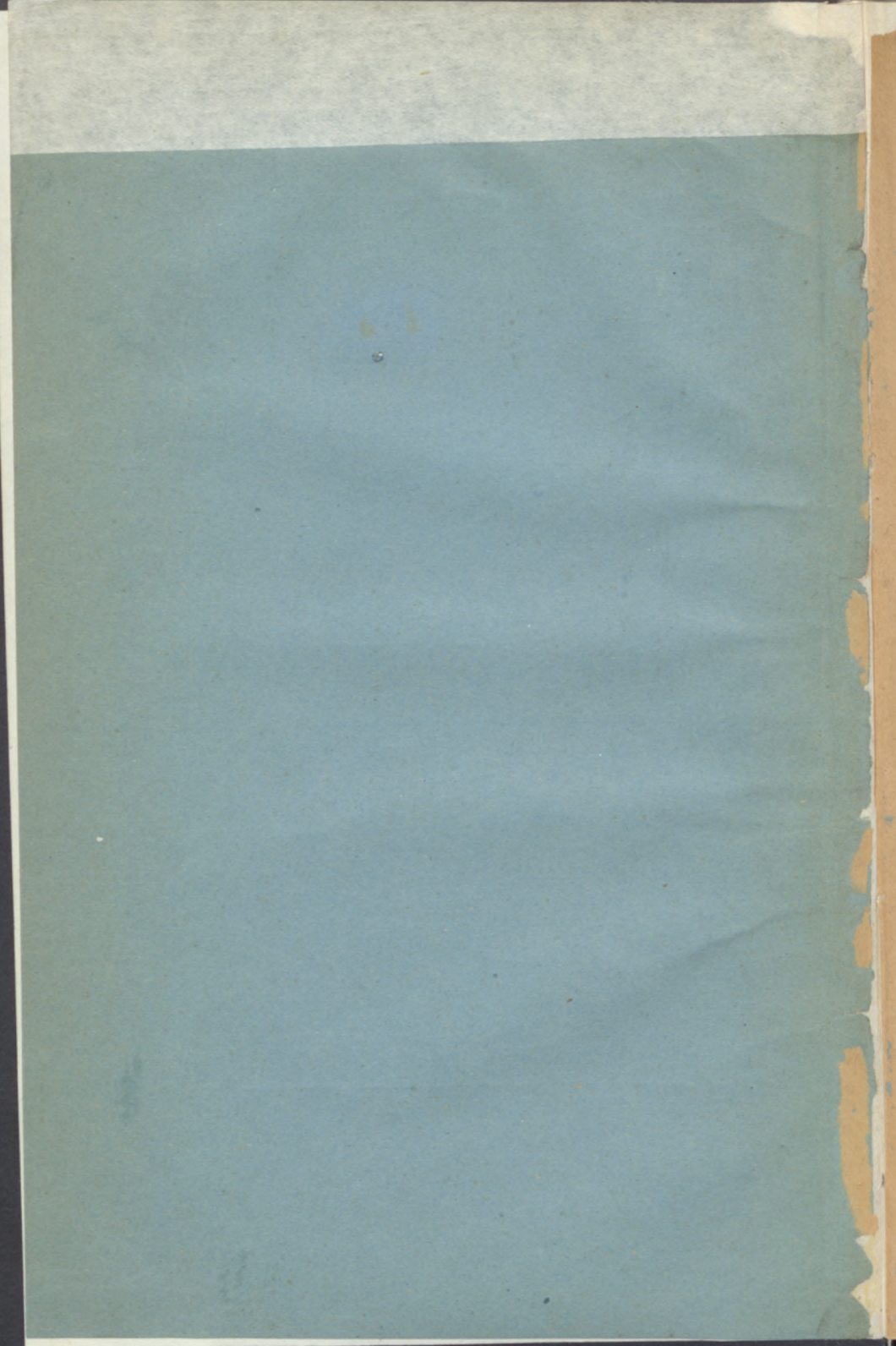
MIECZYŚLAW SCHMITT.



LWÓW.

Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.

1881.



548065  
Księży Łozi Romanowicz  
w dowód poważania  
autory

# BIAŁA GOŁĄBKA.

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

NAPISAŁ

MIECZYŚLAW SCHMITT.

---

*Nakładem Autora.*

---

LWÓW.

Z Drukarni Narodowej W. Manieckiego.

1881.



548065

N.2072/81

## SŁOWO WSTĘPNE.

Zamierzone utworzenie funduszu imienia Adama Mićkiewicza, przeznaczony na udzielanie nagród nauczycielom wiejskich szkół ludowych, za gorliwe i sumienne wypełnianie obowiązków swego zawodu, poddało mi myśl napisania tego dramatu. Pragnąłem zaś przedstawić w nim z jednej strony takiego wzorowego nauczyciela, pojmującego w całej pełni ważność swego powołania, a z drugiej zwrócić uwagę naszego społeczeństwa na klasę ludzi, za mało dotąd znaną i cenioną w stosunku do oczekiwanych skutków ich działalności.

Skreślenie charakteru takiego pracownika na niwie wychowania publicznego było łatwym, a zachodziła tylko trudność jak uwydatnić jego pracę na scenie. Następczą się tu mojem zdaniem dwa sposoby — albo sielanka wiejska złożona z jego wychowanków, albo, co też wybrałem, skupienie w jednej osobie tego wszystkiego co praca jego potrafiła dokonać. W córce nauczyciela zespoliłem przeto wszystkie nici rozgrywającego się dramatu, i Leonia jest przestawicielką a raczej ucieleśnieniem pracy ojcowskiej. Ażeby zaś uwydatnić tem wybitniej wszystkie owe zasady moralne wszczępione przez jej ojca, i owe poczucie obowiązku i gotowość poświęcania się w sprawie ogółu, byłam

zniewolony do wyidealizowania Leonii, i nadania jej nastroju ducha dążącego do wyższych celów.

Że ziarno nauk ojca wkorzeniło się w całą istotę Leoni, starałem się okazać przeprowadzając ją przez próbę ogniową, w której miała do wyboru, albo szczęście, w zwykłym słowa pojęciu, lecz z potarganiem tego co uważała za obowiązek, albo wyrzeczenie się szczęścia, ale za to wypełnienie obowiązku chociażby kosztem złamanego życia.

Czy się wywiązałem z zadania, tak jak pragnąłem i jakby tego wymagała ważność przedmiotu, sąd należy do łaskawego czytelnika, a z mojej strony upraszam tylko o zwykłą pobłażliwość dla początkującego pisarza.

Lwów w Styczniu 1881 r.

## OSOBY:

Jazowski, nauczyciel ludowy.

Leonia, jego córka.

Karol, jej narzeczonny.

Gómnicki, rządcą dóbr.

Anna, jego córka.

Artur hr. Słabędzki, właściciel „Równicy.“

Hrabina Alfonzyna, jego daleka krewna.

Emma, jej córka.

Oktaw Damski.

Wójt wsi Równicy.

1szy gospodarz.

2gi gospodarz.

3ci gospodarz.

1sza gospodyni.

2ga gospodyni.

Abraham Sztorc, arendarz.

Służący i wieśniacy.

Rzecz się dzieje we wsi Równicy.

GEORGE

London, England  
Paris, France  
Berlin, Prussia  
Vienna, Austria  
St. Petersburg, Russia  
Brussels, Belgium  
Cologne, Prussia  
Frankfurt, Prussia  
Hamburg, Prussia  
Munich, Prussia  
Nuremberg, Prussia  
Paderborn, Prussia  
Düsseldorf, Prussia  
Erfurt, Prussia  
Halle, Prussia  
Leipzig, Prussia  
Regensburg, Prussia  
Salzburg, Prussia  
Tübingen, Prussia  
Worms, Prussia  
Zürich, Switzerland  
Basel, Switzerland  
Bern, Switzerland  
Geneva, Switzerland  
Lyon, France  
Marseilles, France  
Nantes, France  
Orleans, France  
Rennes, France  
Strasbourg, France  
Toulouse, France  
Vannes, France  
Besançon, France  
Dijon, France  
Lille, France  
Metz, France  
Nancy, France  
Reims, France  
Troyes, France  
Yverdon, Switzerland  
Aarau, Switzerland  
Lucerne, Switzerland  
Schaffhausen, Switzerland  
Solothurn, Switzerland  
Thurgau, Switzerland  
Vaud, Switzerland  
Valais, Switzerland  
Zug, Switzerland



## A K T I.

*Scena przedstawia obszerny dziedziniec, odgraniczony sztachetami. Po prawej stronie pałac z gankiem, po lewej ogród a pod drzewem wiejska kanapka, stolik i kilka krzesel. Widok wprost na wieś a w dali krajobraz górski. Za sztachetami przechadzają się wieśniacy grupami. U drzwi wchodowych do pałacu stoją dwaj lokaje w bogatej liberyi.*

### S c e n a I.

JAZOWSKI, KAROL, później GÓMNICKI.

KAROL (oparty o drzewo po lewej).

Przyznam się wam ojczy, iż mi się już znudziło czekać na przybycie naszego jaśnie pana hrabiego i dziedzica.

JAZOWSKI (siedząc opodal).

Jakim tonem wymówiłeś te słowa...

K A R O L.

A no, może i trochę drwiącym.

J A Z O W S K I.

Mój kochany, chcąc z drugich szydzić trzeba być samemu czystym jak rosa niebieska... A czyż możemy o sobie powiedzieć, że jesteśmy wolni od wszelkich tych wad, które spostrzegamy i wyśmiewamy w drugich.

K A R O L.

Jak co do czego. O naszym dziedzicu możnaby wiele i długo mówić... Ot, majątek zaniedbał... ani się tu pokaże...

JAZOWSKI (przerywa wstając).

Nie wynika jeszcze z tego byś miał prawo, nieznając go, wyrażać się o nim dwuznacznie. Mogły zajść okoliczności, które mu nie pozwoliły dotąd przebywać tu na wsi.

K A R O L.

Wy bo ojciec uniewinniacie wszystkich zawsze i wszędzie.

J A Z O W S K I.

Nie... tylko nie posądzam.

K A R O L.

Na jedno to wyjdzie... Wam się zdaje, że ludzie to same anioły, a to ot, zwyczajnie, jeden taki, drugi siaki. Wyście ojciec jak to mówią człowiek słaby... i dla tego wszyscy z was tylko korzystają... Ciągną z was co mogą różni ludziska. Każden was jak nie okpi to obedrze... i koniec. A czy to kto widział coście wczoraj uczynili?

J A Z O W S K I.

Każdy na mojem miejscu uczyniłby to samo.

K A R O L.

Chciałbym widzieć takiego drugiego... Może wasz kolega z Rysiej woli... albo ten z Chlebówki, przystałby tak łatwo, ażeby mu chłopci zniżyli tę i tak lichą płacę...

J A Z O W S K I.

Nędza i głód zmusiły ich do tego...

K A R O L.

Tak, a wy co będziecie jedli...

J A Z O W S K I.

Bóg łaskaw z głodu nie pomrzemy... Zresztą przebyło się już i gorsze czasy a jakoś do dzisiaj wyżyło się uczciwie... Ot, patrz, mam i domek własny i kawał pola...

K A R O L.

A owoce z niego zjada wieś cała...

J A Z O W S K I.

Nie prawda! Ludzie tu są biedni, ale uczciwi. O nie śmieję się... O tem mogę cię przekonać. Ziarno, które wpajałem w ich serca przez lat dwadzieścia, wydało już owoce. Nie są to już ludzie straceni dla kraju i dla społeczeństwa, a choć gruba powłoka nędzy i pracy zakrywa jeszcze przed naszymi oczyma ich czystego ducha przyjdzie czas, czas może niedaleki w którym on ją przebiję i stanie równy i wolny wśród wolnych! Patrz, czy widzisz ten obłok na niebie. Ożywczy promień słońca topi go prawie w naszych oczach. To przesąd niknący od gorącego tchu tysiąca serc ożywionych zdrowem ziarnem wiedzy. To ogień przeżerający ten czarny kir po za którym ujrzemy jaśniejący pokój, miłość i wolność...

GÓMNICKI (wchodząc z pałacu).

A o czem to, panie Jazowski, mówicie tak z zapalem? Czy może przygotowaliście jaką oracyę powitalną dla naszego pana?

J A Z O W S K I.

Oracyę?... Nie... Na co mnie stać, to powiem. Czem chata bogata tem rada.

G Ó M N I C K I.

Jak tam myślicie... Panie Karolu, czy w lesie porządek?

K A R O L.

Linie poczyszczone, drzewo wywiezione...

G Ó M N I C K I.

Prawda, że wywiezione. Abraham Sztorc mógłby nam coś o tem opowiedzieć (patrzy na zegarek). Już dwunasta a pana hrabiego jak nie widać tak nie widać (ziewa) Oooo... ciężka to służba (siada i po chwili) Lecz cóż to,

panie Jazowski, słyszałem, że chłopcy chcą wam pensję obciąć...

K A R O L.

A tak... i ojciec przystaje.

G Ó M N I C K I.

Takżeby nie miał rozumu! Zresztą teraz nie powinniście na to przystać prędzej niż kiedy indziej.

J A Z O W S K I.

Dlaczego?... Przeciwnie tegoroczny głód...

GÓMNICKI (przerywa).

Bajki!... O patrzcie jeden w drugiego wyglądają jak rydze... Ale chcę mówić o waszej córce. Wydając ją zamąż potrzeba pieniędzy.

J A Z O W S K I.

Zaraz jej jeszcze nie wydaję...

K A R O L.

Ojcie... znowu zwłoka?

J A Z O W S K I.

Nie zwłoka, ale nie ma nic spieszego, dziewczę młode i tyś młody, możecie czekać.

G Ó M N I C K I.

Już jak tam jest to jest, ale muszę wziąć Karola w obronę. Ma rację... po co mają czekać. Mając bowiem nie zły już kawałek chleba, może utrzymać żonę i dzieci, więc...

JAZOWSKI (przerywa).

Nie ma o czym mówić... Sprawę tę może rozstrzygnąć tylko moja córka.

G Ó M N I C K I.

Jak to?

K A R O L.

Co wy mówicie ojcie — przecie Leonia nie chce zwlekać...

J A Z O W S K I.

Nie dawniej jak wczoraj zagadnąłem ją, iż czas by już było pomyśleć o weselu, że się niepokoisz...

KAROL (żywo).

I cóż odrzekła...

J A Z O W S K I.

Że nie ma nic spieszego, że...

KAROL (przerywa).

To nieuczciwie z jej strony. Wszak już dwa lata minęło jak mi przyrzekła że będzie moją... A ja i czekam i czekam i do czegoż to wszystko doprowadzi.. Mogę w końcu stracić cierpliwość...

J A Z O W S K I.

Będzie co będzie, córki mej przymuszać nie mogę...

G Ó M N I C K I.

No to lepiej wprost odmówić, jak tak chłopca uwozić (na stronie) Dobry byłby i dla mnie na zięcia.

K A R O L.

A jużci... raczej powiedzieć nie, jak zbywać mnie zawsze ładnymi słówkami.

J A Z O W S K I.

Nie mów tak Karolu. Zawsze ci bowiem powtarzałem, że co się mej córki tyczy, li tylko od niej zależy...

G Ó M N I C K I.

To słabość niepotrzebna. Powaga ojcowska powinna kierować dziećmi. Niechby moja Anusia spróbowała się buntować...

J A Z O W S K I.

Ależ panie Gómnicki, czy gdyby córka wasza rzekła: „ojcze mój, mnie tu tak dobrze u ciebie... ten domek, to świat mój cały; miłość twoja taka mi droga. Czemuż mam to wszystko porzucić tak prędko... zostaw mnie jeszcze przy twém sercu...” Czyżbyście, panie, ją surowo

odepchnęli, mówiąc: Nie... porzuć to wszystko i idź z domu... bo ja twój ojciec tak chcę i rozkazuję!

G Ó M N I C K I.

Jeżeli by szło o jej przyszłe dobro, jak w tym wypadku, postąpiłbym tak niezawodnie. Bo nie ma tam wiele co mówić, ale takich ludzi jak Karol nie znachodzi się na śmieciu. Ot, macie za wiele słabości dla tego wypieszczonego gołąbka, jak ją tu nazywają i koniec.

KAROL (który był odszedł ku sztchetom).

Ojczy, widzę tam Leonię.

J A Z O W S K I.

Przywiodła ją tu zapewne ciekawość.

G Ó M N I C K I.

Mojej córce nie pozwoliłem tu przychodzić.

K A R O L.

Pójdę i namówię ją by odeszła...

G Ó M N I C K I.

A dobrze uczynisz... Nasz pan należy do tego rodzaju ludzi, iż nie dobrze już dla uczciwej dziewczyny, gdy się na nią popatrzy.

K A R O L.

Idę a zarazem pomówię z nią ostatecznie. Na co się zaś zgodzi, czy i wy ojczy przystaniecie?

J A Z O W S K I.

Dałem ci już dawno mą rękę i przyzwolenie. (Karol odchodzi) (do Gómnickiego) Czy macie jakie powody mówić i myśleć tak źle o naszym dziedzicu?

G Ó M N I C K I.

Żle... źle... Mówiłem tylko co do kobiet... a tego nie można mu brać wcale za złe. Lubi je bardzo... no a taki pan, coś... tegoś...

J A Z O W S K I.

Nie rozumiem...

GÓMNICKI (machając ręką).

To już ja wam tego i nie wytłumaczę (wstaje). Ostrzegam jednak po przyjacielsku, pilnujcie dobrze córki a lepiej zmuscie niech idzie za Karola jak najprędzej, wtedy on ją sobie będzie pilnował. Tacy panowie jak nasz dziedzic (mówi cicho) to na wsi... lubią bardzo wiejskie „gąski“ jak nazywają nasze dziewczęta (odchodzi ku sztachetom i zagląda.)

J A Z O W S K I.

(na stronie) Boże sprawiedliwy... co ten człowiek mówi. Lecz musi być uprzedzony jak wielu ludzi tego rodzaju (słysząc szmer za sceną).

G Ó M N I C K I.

Jedzie już... jedzie... (otwiera bramę). Hej ludzie w szeregi. Wójt, tu stańcie koło bramy...

## S c e n a II.

Ci sami, WÓJT, (później) ARTUR, HRABINA, EMMA, OKTAW, KAROL, WIEŚNIACY I WIEŚNIACZKI.

G Ó M N I C K I.

Panie Jazowski, proszę tu bliżej... gdzie Karol... (woła) Karolu!...

KAROL (za sceną).

Idę... idę... (wbiega i staje koło bramy).

G Ó M N I C K I.

Coś tak osowiał?

K A R O L.

E... nie pytaj pan nawet. Chyba przyjdzie człowiekowi oszaleć z tą dziewczyną.

G Ó M N I C K I.

Bo... porzuć ją raz... i koniec. Znajdziesz łatwo inną (cicho) lepszą a może i bogatą (mówi dalej cicho).

WÓJT (do Jazowskiego).

Wy się panie na nas nie gniewajcie... Bóg świadkiem, że bieda i nie ma z czego brać. Ale my nie wiedzieli, że wypuszczacie już w świat waszą białą gołąbkę... To zmienia rzecz... Ona się u nas urodziła i wzrosła, to nasza wspólna dziecina. To my się wczoraj zebrali i uradzili ażeby na wiano dla niej...

JAZOWSKI (przerywa).

Bóg wam zapłać, poczciwi ludzie... ale...

WÓJT (przerywa).

To już tak postanowiono i inaczej nie będzie... A tożby to było pięknie, żeby nasz gołąbek tak sobie furnął i poleciał. A kto nas w biedzie, w chorobie pilnował i ratował, a kto nam w kościele spiewał jak ptasze, a kto nasze dzieci tulił i pieścił?...

J A Z O W S K I.

Słowa te wasze większą dla mnie nagrodą jak wszystkie inne. Wierźcie mi ludzie... to mi wystarczy... Dzięki Bogu żyję wśród was od tak dawna i biedy nie zaznałem. Nie chcecie żebym się dziś stawał biednym. A byłbym nim przyjmując od was ten dar... bo bym musiał myśleć, że mnie chcecie zapłacić.

1. G O S P O D A R Z.

Toć nie ma co panie i mówić z wami... Pójdziem do naszej panienki.

2. G O S P O D A R Z.

Z nią to nam łatwiej pójdzie.

1. G O S P O D Y N I.

Jak pięknie poprosimy to będzie jak chcemy... To nasza dziecina, musi nas słuchać...

3. G O S P O D A R Z.

Ot bieda... polecą gołąbek...



## 2. G O S P O D Y N I.

Ale nie daleko... toż idzie za pana Karola...

G Ó M N I C K I.

Cicho... pan hrabia... (wszyscy się rozstępują Oktaw prowadzi pod rękę hrabinę za nim Artur Emmę). Witaj nam panie wśród rodzinnych progów (kłania się nisko a wszyscy krzyczą „witaj!“)

ARTUR (rozglądając się).

Dziękuję... dziękuję...

H R A B I N A.

Boże, co za krzyk przeraźliwy (patrzy przez szkła).

O K T A W.

Może krople podać?

A R T U R.

Panie zmęczone... proszę więc do pokoi... (do Gómnickiego) zaraz powrócę (idzie z Emmą do domu).

H R A B I N A.

Emmo, czekaj na mnie... Panie Oktawie prowadź.

O K T A W.

Puśćmy się więc w ruch...

HRABINA (przystając).

Emmo czekaj... Co pan mówisz?

O K T A W.

Nic... (podnosi nogę i robi pierwszy krok). Puśćmy się w ruch... to znaczy chodźmy...

H R A B I N A.

Aa... Co za szczególny sposób wyrażania się.

ARTUR (ode drzwi).

Czekamy...

HRABINA (idzie z Oktawem powoli).

Nie pojmuję tej dziwnej chęci Artura.

OKTAW (przystając).

Jakiej?

H R A B I N A.

Dziwnej chęci wyjazdu na wieś... i zachęcania nas do tego...

O K T A W (idąc).

Lubi tak sielanki, a jako narzeczoną panny Emmy...

H R A B I N A.

Piękna sielanka — krzyk, hałas i nudy (wychodzą).

G Ó M N I C K I (do Jazowskiego).

Szczególna jakaś osoba...

J A Z O W S K I.

Przyszłość to dopiero okaże.

G Ó M N I C K I.

A ta panna... pewnie narzeczoną naszego pana hrabiego. Hrabia pisząc o urządzeniu pokoi, zalecił mi szczególnie jeden pokój i ręczę, że przeznaczył go dla niej. Ma być bardzo bogata... a przydałyby się pieniądze... ale i pan Abraham ściąga do nas... A co to sprowadza?

### S c e n a III.

Ci sami, SZTORC.

S Z T O R C.

Nu, przyszedłem przywitać naszego pana... (wita się podając wszystkim ręce). I pan profesor tutaj... tam stoi córka... czemu nie razem?...

J A Z O W S K I.

Po cóż by tu była... a tam patrzy się bo ciekawa.

S Z T O R C.

Nu ciekawa... Prawda, teraz wszyscy ciekawi i ja ciekaw co powie pan hrabia, że nie będę mógł już płacić dalej tyle za propinację.

G Ó M N I C K I.

Co Sztorc mówi. Z takimi rzeczami potrzeba siedzieć cicho...

## S c e n a I V.

Cią sami, wchodzi ARTUR.

A R T U R.

Witam was moi panowie i dziękuję szczerze za to serdeczne przyjęcie. Stosunki moje nie pozwoliły mi dotąd, osiedlić się tu między wami. Dzisiaj jednak, miło mi wam powiedzieć, iż zmieniły się one na moją korzyść i będę mógł pracować wspólnie z wami dla mego i waszego dobra. Panie Gómnicki, proszę przyjąć i ucześćstować wszystkich.

G Ó M N I C K I.

Stanie się podług życzenia pana hrabiego. Zanim odejdę pozwoli jednak pan hrabia że przedstawię... (wskazuje na Jazowskiego i Karola) (a na skinienie Artura). Pan Jazowski nasz nauczyciel, Karol... nasz rządca lasowy. (odchodzi a za nim wieśniacy).

A R T U R (Sztorc usuwa się nieco).

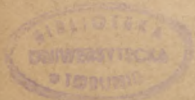
Bardzo mi miło poznać panów (podaje im rękę) (do Jazowskiego). Pana chciałbym widzieć częstym u mnie gościem (Karol odchodzi powoli bramą wprost). Mam różne plany i zamiary w których pomoc pańska, będzie mi nader cenna.

J A Z O W S K I.

Będę prawdziwie szczęśliwym mogąc tem dołożyć choć jeden kamyczek do budowy tego gmachu naszej przyszłości.

A R T U R (patrzac nań ciekawie.)

Powiadasz pan, gmachu naszej przyszłości... Sądziłbym, iż oświata niższych warstw naszego społeczeństwa, choć jest niezbędną... nie może być przecież jedynym czynnikiem naszego odrodzenia. Są inne warstwy... warstwy dziś już wysoko stojące a władające potężną siłą, bo siłą inteligencji. Nie przypuszczam zresztą w niczem wyłączości...



J A Z O W S K I.

Toż wyrażeniem tem nie chcę jej nikomu przypisywać. Wnosząc zaś ze słów hrabiego, iż chcesz coś uczynić dla podniesienia oświaty twego ludu, wyrwał mi się ten okrzyk radości.

A R T U R.

Mam przynajmniej najlepsze chęci... Zacznę zaś od tego, iż wyrażając panu moją wdzięczność za jego gorliwą dotychczasową pracę, użyję mu do dalszej lepszych środków i warunków. Dotacya pańska zostanie podwojoną.

J A Z O W S K I.

Panie hrabio, zły początek...

A R T U R.

Nie rozumiem pana...

J A Z O W S K I.

Do dzisiaj jestem płatny li tylko przez gminę. Ludzie mówią sobie... to nasz, my go sobie płacimy. Gdy hrabia dołożysz połowę,.. cóż z tego wyniknie...

A R T U R. (przerywa).

Bynajmniej się nie domyślam, jaki by to mogło mieć wpływ na tych ludzi... Powinni się tylko z tego cieszyć.

J A Z O W S K I.

Gdyby mogli tak rozumować jak my, zapewne. Lecz niestety poglądy ich nie sięgają dotąd po nad ich własną sferę, której my znowu nie zawsze pojmujemy. Gdybym przyjął łaskawą ofiarę hrabiego, straciliby do mnie zaufanie mówiąc: to płatny sługa dworu.

A R T U R.

Pan się mylisz, zresztą nie potrzebują o tem wiedzieć...

J A Z O W S K I.

Zanadto znowu są sprytni by się co przed nimi dało ukryć. Nie, panie hrabio. Użyj raczej tych pieniędzy na inny cel. Potrzeby są tysiączne a środki małe. Patrz

pan na te nędzne chaty... wnijdź tam i spojrzj na tych których w sobie kryją a na których twarzach wyryte jest piętno głodu! A wtedy pomyśl jakiej trzeba urodzajnej gleby, by, wśród tak trudnych warunków i sprzysiężenia się nieprzyjaznych żywiołów, przyjęło się to ziarno wiedzy i wydało owoce jakich oczekujemy. Tu praca jednostki niknie... Tu ogół powinien działać... Wszyscy powinniśmy się zaprządz do tego pług orzącego niwę urodzajną, ale twardą, zeschniętą, prawie zaskorupiałą od wieków. Powoli, skiba za skibą odkładać, kruszyć... ciepłym tchem serca owiewać... a pole nasze zacznie się wnet zasiewać... tu i owdzie zabłyśnie kwiat wśród zieleni... aż owoc pocznie dojrzewać i wyrosną tysiące, krocie... i ręka w rękę pójda z nami choćby przed tron Boga!

ARTUR (wzruszony).

Panie, widzę iż jesteś człowiekiem niezwykłym. Proszę, uważaj mnie za przyjaciela, a dom mój za swój własny... (podaje mu rękę i zwraca się ku domowi; Jazowski kłania się i odchodzi przez bramę wprost. Spozstrzega Sztorea). Czy masz pan do mnie jaki interes? Możeby później, bo jestem zmęczony.

SZTORC (podechodząc).

Nu, pewnie, że pan hrabia zmęczony... Ten profesor... on może zmęczyć...

A R T U R.

Tak, pana, którego nasze sprawy nic nie obchodzą. Z każdego słowa tego człowieka...

SZTORC (przerywa).

Nu, ja nie mówię nic na niego... to mądry człowiek. A panu hrabiemu chciałem się pokłonić, nu i tak trochę pogadać...

A R T U R.

Masz pan chyba jaki interes... bo...

S Z T O R C.

Interes... interes... Nu, a pan hrabia nie chce jak inni panowie wiedzieć co się tu dzieje albo w okolicy. A kto lepiej potrafi opowiedzieć jak nie arendarz.

A R T U R.

I owszem... i owszem... ale kiedy indziej; do widzenia (wychodzi do domu).

**S c e n a V.**

SZTORC, GÓMNICKI (z po za domu).

G Ó M N I C K I.

A wy tu jeszcze panie Sztorc. Mówiliście może z hrabią...

S Z T O R C.

Nu... mówił i nie mówił...

G Ó M N I C K I.

Jakto?...

S Z T O R C.

Ten profesor to nieda przyjść do słowa. Nu... ale co będzie z propinacją?...

G Ó M N I C K I.

Nie moja w tem głowa ale wasza...

S Z T O R C.

Co moja głowa pomoże, jak ludzie nie chcą pić wódki... a ja ją od was drogo kupuję i jeszcze o jeden stopień...

GÓMNICKI (przerywa).

Co, co... co, jaki stopień, kiepską macie miarę i koniec.

S Z T O R C.

Nu zła miara... dlaczego by miała być gorsza od pańskiej... Ona tylko nie chce pokazywać ten sam stopień...

GÓMNICKI (przerywa).

A widzicie, zepsuta.

S Z T O R C.

Nu, ja wiem, zepsuta, o jeden stopień... Ale co tam mówić... Słyszał pan, że te goimy chcą dać pieniędzy córce profesora?

G Ó M N I C K I.

Jakto?

S Z T O R C.

Nu, chodzą od chałupy do chałupy i zbierają grosze na posag... Ona idzie przecie za pana Karola... Nu, a pańska córka?...

G Ó M N I C K I.

Moja jeszcze młoda... ale to pytanie czy Karol się ożeni z jego córką. Podobnoś pogniewali się.

S Z T O R C.

Pogniewali się... nu, to się i przeproszą. — Ale pan się spieszy pewnie, nie zabieram więc czasu... Padam do nóg (wychodzi bramą wprost).

GÓMNICKI (sam).

Coś żydzisko knuje... Muszę się mieć na bacności (wychodzi powoli na prawo po za dom).

## S c e n a VI.

ANNA, LEONIA.

ANNA (skradając się od bramy).

Nie ma już nikogo, chodź...

LEONIA (za bramą).

Po co... jeszcze nas z okna zobaczą...

A N N A.

Nie bój się, ich pokoje są od ogrodu... Chodź, chodź. Wystałyśmy się dosyć. Siądziemy tu pod drzewem trochę wypocząć.

LEONIA (wchodząc bojaźliwie).

A jesteś pewna, że nikt tu nie przyjdzie?

A N N A.

No a choćby i przyszedł który... Lecz nie bój się nie... Jedzą teraz śniadanie.

LEONIA (stając pod drzewem i patrząc w lewo).

Jak tu teraz ładnie...

A N N A.

Prawda? Ojciec kazał uporządkować cały ogród. Jak sobie poradzą toż to będziemy miały gdzie biegać...

LEONIA (siadając na ławce).

Alboż my i teraz nie mamy gdzie biegać... Lecz czemu mówisz że wyjadą. Mają tu przecież stale zamieszkać.

ANNA (siadając koło niej).

Nie znasz naszych panów. Ojciec mówi że nie wytrzymają tu dłużej; nad miesiąc. Zresztą nie dziwię się im nawet... Tu takie nudy...

LEONIA.

Jak możesz tak mówić... Nudy... Ach Boże, nie pragnę nigdy innego życia. Cóż nam brakuje? Cóż nam jest w stanie zastąpić, tę swobodę, tę wolność bez granic... Czy może miasto ze swemi ciasnymi ulicami?... Czy może bogactwo, pałace i stroje? Wszak my tu mamy to samo tylko o całe niebo wyższe, piękniejsze. Widnokrąg świata stoi przed nami otworem; w dzień słońca nam nic nie zakrywa... a wieczór migoczą nam tysiące gwiazd na niebieskiem sklepieniu przykrywającym najpiękniejszy gmach, bo gmach zbudowany ręką Stwórcy. (żartobliwie) A my przechadzamy się po nim dumnie i pyszne. Sukienki nasze błyszczą jak szychem złotym wyszyte koronki... a rosa spadając na nasze włosy i sącząc kropelka po kropelce odbija tysiącem kolorów, zachodzące słońce ubierając nas prawdziwą tęczą żywych dyamentów.



(śmiejąc się). Cóż moja kochana... czy pomimo to wolałabyś mieszkać w mieście?...

ANNA (smutnie).

Masz dziwny sposób mówienia. Nigdy nie wiem czy mówisz na seryo czy tylko żartujesz.

LEONIA (poważnie).

Zdaje ci się tak tylko... Zawsze mówię co myślę... Nie znam miasta... lecz i nie pragnę go poznać... A mieszkać tam... Chociaż...

A N N A.

Cóż... czemu urwałaś?

L E O N I A.

Dzieciństwo...

A N N A.

Przecież...

L E O N I A.

Chciałam powiedzieć, że gdybym jednak musiała...

A N N A.

Cóż by cię mogło zmusić...

L E O N I A.

Co?... Sama nie wiem.

A N N A.

Co tobie... ty drzysz cała?...

LEONIA (tuląc się do Anny)

Nic... nic moja kochana... Lecz widzisz, szkaradny obraz przesunął mi się przed oczy... Ujrzałam się nagle w pośród wielkiego jakiegoś budynku... Pełno tam było ludzi, a wszyscy powtarzali, patrząc na mnie: Jesteś w mieście... jesteś w mieście... Ach! te mury takie czarne... te twarze takie posępne (usuwa się od Anny). Umarłabym tam (po chwili) A... co za posępne myśli...

A N N A.

Bo dajmy spokój takim rozmowom... Powiedz mi lepiej, czy już szyjesz ślubną sukienkę...

L E O N I A.

Ślubną sukienkę?...

A N N A.

Przecież wkrótce wyjdzie za Karola?

LEONIA (nagle wesoło)

Szyję już... Wiesz... Karol tak mnie kocha...  
Biedny... tak prosi by przyspieszyć wesele...

A N N A.

Pewnie, wszyscy się nawet dziwią, że tak zwlekacie  
bez potrzeby.

L E O N I A.

To też postanowiłam, że ślub odbędzie się już...  
wkrótce...

A N N A.

Jakże się cieszę... Karol wie o tem?

LEONIA (figlarnie)

Nie... i nie powinien jeszcze wiedzieć... Niech się  
trochę pomartwi... Królowna nie tak łatwa do zdobycia...

A N N A.

A nie żal ci... Przecież go kochasz?

L E O N I A.

Kocham... Czemuż bym nie miała kochać... On  
taki dobry, do mnie tak przywiązany, dla mego ojca jest  
synem prawdziwym. (szybko) Zresztą młody, przystojny,  
miły... o ja go bardzo kocham... (wstaje) Lecz chodźmy  
już...

A N N A.

Czemu się spieszysz...

L E O N I A.

Ależ wcale się nie spieszę... tylko chodźmy już ztąd,  
gdyż gotów nadejść który z tych panów.

## S c e n a VII.

(w drzwiach pokazuje się Artur, Emma, Oktaw, a spostrzegając ich zatrzymują się na znak Artura, który wpatruje się ciekawie w Leonię).

A N N A.

A, jeszcześ mi nie powiedziała jak ci się podobali?

L E O N I A.

Jak mi się podobali... Nie widziałam (urywa spostrzegając stojących w drzwiach i stoi chwilę nieruchoma) To on!...

ANNA (spostrzegając także)

Uciekajmy!...

LEONIA (nie ruszając się)

Za późno!

ARTUR (wchodząc)

Panie wybaczą... lecz rzeczywiście nie wiedziałem, że ustroń ta kryje w sobie tak miłą dla nas niespodziankę... Pozwolą też panie iż się przedstawię sam w braku kogoś trzeciego, któryby nas poznał.

L E O N I A.

To naszym jest obowiązkiem przedstawić się panu hrabiemu i przeprosić żeśmy tu weszły. To córka pana Gómnickiego... co nas poniekąd tłumaczy, gdyż tu mieszka.

A R T U R.

A pani?...

L E O N I A.

Ja... nieco opodał... Ojciec mój jest tutejszym nauczycielem.

A R T U R.

Przewybornie się składa. Ojciec pani jest człowiekiem uwielbienia godnym... a sądząc po ojcu nie wątpię...

LEONIA (przerywając)

Pan hrabia daruje... odejdzimy. (bierze Annę pod rękę i kłania się).

A R T U R.

O, nie tak łatwo panie z tąd wypuszczę... Oktawie, Emmo!... chodźcie no mi na pomoc.

ANNA (do Leoni)

Chodźmy.. chodźmy...

L E O N I A.

Pan hrabia zbyt grzeczny...

A R T U R.

Żadnych tylko półsłówek... Mój przyjaciel Oktaw, moja bliska krewna. Nie wątpię że panie się wnet za-  
przyjaźnią...

EMMA (odklaniając się)

Bardzo mi miło...

OKTAW (do Emmy)

Pomyliłaś się pani... nie miło.

A R T U R.

Ach moje panie... nie bądźcie takie sztywne...  
Jesteśmy na wsi.

O K T A W.

Dla różnicy więc od miasta... powinniśmy tu cho-  
dzić inaczej... a mówić prawdę...

L E O N I A.

Czyżby nie wszędzie mówiono prawdę?...

A R T U R.

Niech pani nie zwraca żadnej uwagi na jego słowa  
(tu Emma zbliża się do Anny i mówi do niej po cichu).

O K T A W.

Oczywiście, bo słowa, to są jak wiatr...

L E O N I A.

Byle nie mroźny... bo zostawia ślady.

OKTAW (patrząc na nią)

Niknące jednak od lada cieplejszego powiewu.

A R T U R.

Oto i gra słów niepotrzebna... Podaj raczej rękę  
Emmie i pójdziemy się przejść po ogrodzie.

EMMA (siadając)

Nie, zostańmy tutaj; miejsce tak piękne... Jak panie przepędzacie czas na wsi... Bo cò do mnie, to nie mam najmniejszego wyobrażenia co ze sobą począć.

OKTAW (podając Leoni krzesło)

Pouczę panią...

LEONIA (nie siadając)

Podejmujesz się pan rzeczy zbyt trudnej... Ażeby się na wsi nie nudzić — potrzeba się tu urodzić i żyć...

O K T A W.

Nie wątpisz pani przecież że i ja się urodziłem...

A R T U R.

I wyrosłeś, dzięki Bogu, na wcale miłego człowieka... (do Anny) Czy i pani podziela zdanie panny...

A N N A.

Pan hrabia ma myśli... co powiedziała Leonia?

A R T U R.

Tak... (do Leoni) Ładne nosisz pani imię.

ANNA (podchwytując)

Lecz jest tu znaną pod innem

LEONIA (przerywa)

Po còż to Anno... Lud nasz bywa czasami zbyt poetyczny w swych poglądach... a raczej bardzo podobny do rozpieszczonego dziecka...

O K T A W.

Które i ukąsić potrafi...

ARTUR (więcej do Anny)

Lecz wzniciłaś pani naszą ciekawość. Nie ładnie więc jej nie zaspokoić...

ANNA (patrzac na Leonie)

Kiedy sobie tego nie życzy...

E M M A.

A pani prosimy...

A N N A.

Nazywają ją... białą gołąbką.

E M M A.

Rzeczywiście... nazwanie poetyczne. Pani musiałaś  
czemś wielkiem zaskarbić sobie taką ich łaskę.

L E O N I A.

O, oni wymagają tak niewiele. —

A N N A.

Przeciwnie zbyt wiele czynisz im dobrego.

O K T A W.

Biała gołąbka chce się widać okrasić purpurą.

L E O N I A.

Jesteśmy na wsi — uczynki więc nasze i słowa  
zgadzają się z myślami — a trudno tu myśleć o purpurze.

A R T U R.

Dobrze ci tak... Masz nauczkę, że nie czyni dru-  
giemu, co tobie nie miło.

### S c e n a VIII.

Ci sami (na ganku pokazuje się hrabina i patrzy  
przez lornetkę).

O K T A W.

Mój kochany, człowiek uczy się całe życie... a tem  
tylko może być szczęśliwszy, jeżeli słowo wiedzy płynie  
z ust tak pięknych.

E M M A.

Co słyszę... komplement, z ust pana. (do Leoni)  
Musisz pani wiedzieć... iż odniosłaś tryumf nie lada.  
Pan Oktaw rzadko się niemi posługuje.

A R T U R.

Ależ oto i ciotka zeszała do nas (do hrabiny podcho-  
dząc) Prosimy do nas...

HRABINA (na progu domu)

Podaj mi rękę... (idąc powoli) Kto tam jest?

A R T U R.

Miła niespodzianka. Wynaleźliśmy znajomych...

HRABINA (stając)

Któż taki?

A R T U R.

Emma będzie miała rozrywkę i miłe towarzystwo...  
Dwie panienki wcale dorzeczy; córka Górnckiego i córka  
nauczyciela.

HRABINA (lornetując Leonię i Annę)

Emmo...

A R T U R.

Ciotko...

H R A B I N A.

Emmo chodź... Powinieneś pan był wiedzieć, że  
tego rodzaju towarzystwo nie jest dla mojej córki sto-  
sowne.

A R T U R.

Ależ...

EMMA (nadchodząc)

Co mama rozkaże...

H R A B I N A.

Podaj mi rękę...

E M M A.

Czy mama chce się przejść?...

H R A B I N A.

Chcę ztąd odejść.

A R T U R.

Ależ ciotko, na miłość Boga, nie kompromituj mnie  
w obec tych kobiet...

HRABINA (biorąc Emmę pod rękę)

Nie mam z niemi nic wspólnego (odchodzi powoli na lewo do domu).

ARTUR (zwracając się ku Leoni)

Ciotka moja jest bardzo słabowita...

L E O N I A.

I tak nam już czas powracać do domu (kłania się i wychodzi z Anną przez bramę).

ARTUR (patrząc za niemi)

Nie... doprawdy... jakieś лихо natchnęło mnie tą myślą brać... te... (patrzy na dom) ze sobą.

O K T A W.

Nie patrz tak... bo tym wzrokiem gotów jesteś ją zabić!

A R T U R.

Zawsze ci żarty w głowie... Ręczę że te dziewczęta...

O K T A W.

Mów „ta dziewczyna“.

A R T U R.

Ach nie bądźże taki nudny. Rozumiesz przecie jak przykre jest moje położenie... a słusznie mogły się urazić...

O K T A W.

Tak... No, a Emma?...

A R T U R.

Cóż Emma...

O K T A W.

Nie może się urazić?

A R T U R.

Czem?

O K T A W.

Temi dziewczętami...

A R T U R.

E... daj mi czysty spokój... Masz czasem dziwne pojęcia i zapatrywania. Co Emma może mieć z niemi wspólnego?



O K T A W.

I wiele...

A R T U R.

Tak?... Czemuż już nie pójdziesz dalej... i nie powiesz... (urywa oglądając się niecierpliwie).

O K T A W.

Że ci się podobała... i że z czasem...

ARTUR (przerywa)

Jeszcze mi się może więcej podobać... że się w niej zakocham... i tak dalej... i tak dalej... No... cóż... dalej z morałami...

O K T A W.

Widzę, że przydadzą się na później...

A R T U R.

Bawisz się w proroka.

O K T A W.

Łatwe tu prococtwo... Znając ciebie... i widząc to dziewczę tak piękne i o ile mi się zdaje wyższe nad swój stan...

ARTUR (przerywa)

E!... lichy chyba z tobą trafi do końca (wybiega do domu).

OKTAW (patrzac za nim)

Albo ty z niem!... Biedne dziewczę... (zamyśla się odchodząc powoli w ogród).

Kortyna zapada.

Koniec aktu pierwszego.

## A K T II.

*Scena przedstawia ogródek odgraniczony od ulicy matemi sztachetkami z furtką. Po lewej stronie mały domek, po prawej budynek z napisem „szkółka.“ Koto domu z lewej kilka drzew i kanapka z darni. Kwiaty i krzewy dokota. Widok wprost na krajobraz górski.*

### Scena I.

LEONIA siedzi na ławce i czyta, później JAZOWSKI.

LEONIA (czyta),

Głuche cierpiących jęki, śmiech ludzki nieszczerzy,  
Są hymnem tego świata — a ten hymn posępny,  
Zbłąkanemi głosami wiecznie wniebowstępnym,  
Wpada między grające przed Jehową sfery,  
Jak dźwięk niesfornej struny. Ziemia ta przeklęta,  
Co nas takim piastunki spiewem w sen kołysze.  
Szczęśliwy kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę,  
Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta!...  
(mówi) Kto ma sny... i o chwilach prześnionych pamięta...  
Szczęśliwy!... O, nie, raczej stokroć przeklęty!... (po  
chwili) Kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę! Ale  
dlaczegoż ta cisza taka złowroga... Czemu te złote sny  
raczej przejmują grozą, obawą... a te marzenia przy-  
wodzą to biedne serce do rozpacz! (wstaje) Czemu?...  
(patrzy na góry) Czemu te góry wzbijają się aż pod gra-  
jące przed Jehową sfery, a czemu ten wątyły kwiatek  
podnosi tak dumnie swą główkę, jak gdyby urągał ich wiel-  
kości?... (urywa kwiatek) Fiołek! Biedny kwiatku (przy-

patruje mu się) z wiosennem słońcem wznosisz główkę woniejącą... Wystrzelasz z zimnej jeszcze ziemi... a za nim się ociepli, już i umrzeć ci wypadnie!... Umrzeć!... (po chwili) Lecz zkąd te smutne myśli (ogląda się) Jakis niepokój mnie trawi... (po chwili) Pewnie z czytania. Tak... nie mogę, nie powinnam czytać... Nie... nie... nie będę... Muszę się zająć czemś innem (patrzy dokoła) A... jeszcze nie podlewałam kwiatów (bierze koneweczkę i zaczyna podlewać).

JAZOWSKI (wychodząc z domku).

Co też ty czynisz? Jeszcze rosa nie oschła a już podlewasz kwiaty.

LEONIA (stawiając koneweczkę).

Prawda!..

JAZOWSKI (patrzając na nią).

Leonio, tyś taka blada...

L E O N I A.

Blada?.. Zdaje się tak ojcu (całując go w rękę) Trochę jestem może tylko podobna do tych kwiatków. Zimno mi od porannej rosy, a słońeczko mnie jeszcze nie ogrzało.

J A Z O W S K I.

Nie wychodź tak rano i ubieraj się ciepłej.

LEONIA (uśmiechając się).

Ojciec bierze więc na seryo moje słowa?...

J A Z O W S K I.

Wiem, żeś przywykła do naszego tu powietrza, ale ostrożność nie zawadzi... Czytałaś pewnie jak zwykle?

L E O N I A.

Nie mogę czytać. I chciałam cię właśnie prosić byś pozamykał wszystkie książki pod klucz...

J A Z O W S K I.

A klucz dał tobie do schowania. Nie moje dziecko. Niech będą tam gdzie są. To nasz skarb cały, a ani ty, ani ja nie jesteśmy skąpcami, byśmy go chcieli ukrywać

przed naszymi i drugich oczyma. Lecz możeśmy byli zanadto szczodrzy, możeśmy zanadto szafowali tym skarbem. A po zbyt hojnym użyciu, następuje zniechęcenie... przesył...

L E O N I A.

Czy by się to objawiało pewnem roztargnieniem, a wtedy myśli się tak nie wiążą... płaczą...

JAZOWSKI (biorąc ją za rękę).

A gdyby tak było?...

LEONIA (z niepokojem).

Więc prawda?... Czytam za wiele.

J A Z O W S K I.

Nie.

LEONIA (żywo).

Ojcze!... Nie?...

J A Z O W S K I.

Nie!... Inna jest tego przyczyna...

LEONIA (z przestraczem).

Inna!... (smutnie) A więc jakaż by być mogła?

J A Z O W S K I.

Dziecko, nie jesteś ze mną szczerą. Podejrzenia moje zmieniły się już w pewność. Dla czego ta ciągła zwłoka z Karolem. Nie chcesz porzucić starego ojca?... Ależ Leonio, czyż odjedziesz za morza?... Czyż szczęściem twem nie będę i ja szczęśliwy? Czyż kochając męża, przestaniesz kochać twego ojca?...

L E O N I A.

Nigdy!... Lecz ojciec cóż spieszego?

J A Z O W S K I.

Wiesz zresztą, że kocham Karola jak syna... więc dla mnie to uczynić i nie bądź dlań prawie niesprawiedliwą. Przed kilku tygodniami obiecałaś mu już, iż ślub wasz odbędzie się wkrótce, a teraz...

L E O N I A.

Toż się i teraz nie cofam... ale...

J A Z O W S K I.

Nie moje dziecko, dalej tak być nie może. Karol czynił mi znówu wczoraj wyrzuty. A są mi one tem boleśniesz, iż nie mogę mu nawet brać tego za złe. Leonio — za chwilę ma tu przyjść jak zwykle... Ułóżcie więc już dzisiaj dzień stanowczy i niechaj błogosławi wam Najwyższy (całuje ją w czoło i odchodzi do szkoły).

LEONIA (sama)

A ja myślałam że czytam za wiele... (po chwili) Nie... nie... ja Karola kocham... tak, Karola... (zamyśla się).

## S c e n a II.

LEONIA, KAROL

KAROL (wchodząc furtką).

(n. s.) Po raz ostatni już tu przychodzę... (głośno) Leonio, śmieję się ze mnie... Wczoraj powiedziałem ci, że już nie wrócę...

LEONIA (otrząsając się z zadumy).

To ty Karolu?...

K A R O L.

Tak... ja... Lecz dlaczegoż się nie śmiejesz?... Powiedziałaś przecież wczoraj „Toż to się będę śmiała, gdy powrócisz“.

L E O N I A.

Karolu... czy się na mnie gniewasz?

K A R O L.

Chociażbym i chciał... nie mogę.

L E O N I A.

Wiem, tyś dobry... Ale widzisz mam taką dziwną naturę... Raz jestem wesoła... taka wesoła, że prawie nie wiem sama co mówię... To znówu, tak mi tęskno, smutno... a wtedy chciałabym, żeby mnie wszyscy kochali i przebaczali...

K A R O L.

Czyż tak nie jest... Przecież cię kocham, niepotrzebuję więc i przebaczać... Nie wiem sam, ale taka mnie do ciebie ciągnie siła, że doprawdy, zdaje mi się, iż prędzej bym mógł umrzeć!...

LEONIA (przerywa).

Ach... umrzeć... Nie powtarzaj tego wyrazu... On taki brzydki... straszny... Lecz, Karolu, dlaczego jesteś tak smutny?... Ot, usiądźmy na naszym ulubionem miejscu (siada na ławce) Tu nam tak dobrze, tu przemarzyliśmy tyle chwil szczęśliwych. Tutaj, możemy też powiedzieć i o tem... co... będzie...

K A R O L.

Leonio moja... Gdybyś wiedziała, z jakim upragnieniem oczekuję tej chwili naszego połączenia!... (siada i bierze ją za rękę) Gdy jestem przy tobie, tom szczęśliwy i niczego więcej nie pragnę. Ale gdy ztąd odejdę i znajdę się pośród czterech ścian mego pustego domu... wtedy Leonio... jestem bardzo biedny. Jakieś dziwne myśli... niepokój... obawa, to znowu szalona złość miota mną jak opętany... Leonio... Ulituj się ty nademną...

L E O N I A.

Karolu, mówisz tak, jak gdybym była, lub chciała być złą dla ciebie... Świadczę się Bogiem że... (urywa).

K A R O L.

Dla czego urwałaś... Mów... czy mi już i słów żałujesz...

L E O N I A.

Czyż ci ich skąpię... (figlarnie) Może nieraz i za wiele mówię, a wtedy w duszy radbyś bym zamilkła. Ale ja by ten wiatraczek kręcący się za lada podmuchem wiatru plotę... i plotę bez końca (nagle poważnie i szybko) Lecz czy ty wiesz Karolu, że źle jest mówić za wiele. Wtedy nie ma się czasu myśleć... Niebaczne słówko

łatwo się wyrwie i lecąc w świat brzęczy złowrogo, a ludzie złośliwi, podchwytną je, podnoszą, nadają znaczenie i słowo takie stanowi nieraz o naszym całym życiu!...

KAROL (z niepokojem).

Leonio, ja twych słów nierozumiem...

LEONIA (patrząc nań).

Nierozumiesz?...

KAROL (ponuro).

I to... nie po raz pierwszy... Lecz mów jaśniej...

L E O N I A.

Mówiłam bez myśli... Czyż mnie nie znasz... Jestem igraszka chwili... O! gdybym mogła być inną... gdybym... (szybko) Karolu, ja ciebie kocham, ale widzisz boję się sama siebie... Pytam się ustawicznie, czym warta twojej miłości, czy zdołam ci ją odpłacić taką samą... i...

K A R O L.

Leonio!... Ty mnie chyba nie kochasz!...

L E O N I A.

Kogoż bym więc kochała...

K A R O L.

A więc nie zwlekaj dalej, bądź raz moją...

LEONIA (szybko)

Będę... Dzień sam oznacz!...

K A R O L.

O, moja droga... Więc już stanowczo?... A więc chociażby i jutro!...

LEONIA (jakby bezwiednie)

Jutro...

K A R O L.

Jestem tak szczęśliwy, że nie wiem sam co mówię... (smutnie) Tak prędko jest to niemożliwe. Potrzeba prawie dwóch tygodni. A więc od dzisiaj za dwa tygodnie.

L E O N I A.

Tak, dobrze, od dzisiaj za dwa tygodnie.

K A R O L.

Jakim to mówisz tonem?

L E O N I A.

Jakim... Tym samym co ty... To oddźwięk twego...  
i jabym może pragnęła...

KAROL (namiętnie)

Leonio moja... teraz dopiero widzę jakim skarbem dla mnie będziesz. Dzisiaj dopiero czuję jaka jest twoja miłość. Droga!... niechaj Bóg, który nas słucha, będzie świadkiem mojej przysięgi, że od tej chwili każde twoje słowo będzie mi świętem a wiara w ciebie ustanie chyba z mem życiem!

LEONIA (jakby przełknięta).

O, jak ty mnie kochasz!...

K A R O L.

O tak, kocham, i nigdy kochać nie przestanę a ten pocałunek (całuje ją w czoło) uważaj za przysięgę w obec Boga wyrzeczoną.

### S c e n a III.

Ci sami, ARTUR.

ARTUR (wchodząc furtką).

Przepraszam panią że...

LEONIA (wstając szybko).

Pan hrabia (oddaje ukłon) tak rano?

ARTUR (oddając ukłon Karolowi który usuwa się nieco w głąb zły.)

Nie musi być zbyt wcześnie, skoro zastaję już tu gościa. Zresztą przychodzę z wesołą nowiną. A z dobrem potrzeba się spieszyć...

L E O N I A.

Zapewne chcesz się pan widzieć z ojcem... Jest w szkole... mogę jednak...



ARTUR (spoglądając niechętnie na Karola przerywa).

Niech się pani nie truzi. Nowina ta dotyczy wyłącznie pani.

L E O N I A.

Mnie?

A R T U R.

Tak Przyszedłem uprzedzić panią, iż ciotka moja dała się nareszcie przekonać, że wszyscy ludzie są ulepieni z jednakowej gliny i przyjdzie dzisiaj z Emmą zwiedzić szkołę i odwiedzić ojca pani.

L E O N I A.

Ojcu to sprawi prawdziwą przyjemność. Lecz nie rozumiem...

ARTUR (przerywa).

Pani, która jesteś tak dobra dla wszystkich, dla nas wyjątkowo jesteś niesprawiedliwą. Jesteś pani większą arystokratką od mojej ciotki. Nie powinniśmy zapominać, że przesady, w których się rodzimy i żyjemy, nie dadzą się wykorzenić w jednej chwili. A jednak my ustępujemy, a pani tego nie chcesz uznać.

L E O N I A.

Nie chcę... Doprawdy panie hrabio nie widzę, w czym się objawia ta moja niechęć.

A R T U R.

Chociażby i w tych jej słowach... Lecz pójdźmy i dalej. Kiedy ojciec pani jest u nas prawie codziennym gościem, kiedy tyle razy Emma była tu z nami, pani nie odwiedziłaś nas dotąd. Lecz przypuściwszy, że do tej chwili mogłaś się pani tłumaczyć niechęcią mojej ciotki, dzisiaj i to usunięte... A jednak panno Leonio (bierze ją za rękę) widzę iż i nadal nie chcesz zmienić swego postępowania... Widzisz pani, mówię otwarcie, szczerze... Dlaczegoż nie chcesz mych słów rozumieć?...

L E O N I A.

Lecz panie hrabio...

A R T U R.

Żadnych wymówek... bo inaczej poskarżę się ojcui pani. Żegnam więc panią pewny, że zgoda zupełna, zakończy tę małą wojnę podjazdową. Do widzenia, za chwilę (wybiega furtką nieuważając Karola).

KAROL (chmurny).

Czego ten człowiek tak się natrąca?

L E O N I A.

Natrąca?...

K A R O L.

Bronisz go?...

L E O N I A.

Naturalnie muszę bronić od niesłusznego zarzutu. Kto bowiem jest grzecznym, nie można go nazywać natrętem. Wiesz zresztą dobrze, jakim jest dla ojca — ile ludziom dobrego czyni.

K A R O L.

Zapewne... Lecz co innego ojciec...

L E O N I A (trochę niecierpliwie).

Mój Karolu, nie mogę mu przecież zakazać by tu przychodził. U nich zaś nie byłam dotąd.

K A R O L.

Przyznam ci się, że mnie to dziwi. Bo, czy on tu, czy ty tam, na jedno wyjdzie.

L E O N I A.

Karolu!...

#### S c e n a I V.

Ci sami, SZTORC (wchodzi furtką)

L E O N I A (sposzrzegając Sztorca).

Lecz cóż to?... Pan tutaj?

S Z T O R C (kłaniając się).

Panienska się dziwi, że karczma przybyła do szkoły...

Nu, dobry to znak.

KAROL (do Leoni).

Ale ty nie pójdziesz do dworu... prawda?...

LEONIA (patrzy na Karola a mówi do Sztorca).

Czy pan ma jaki interes do mego ojca?

S Z T O R C.

Nu... wam się zdaje, że żyd nie ma już nic innego na celu jak interes „Geschäft”. Ja przyszedł powiedzieć coś panience.

L E O N I A.

Mnie... Słucham więc (wskazuje mu krzesło obok ławki na której siada) (Karol chodzi niespokojny).

S Z T O R C.

Dziękuję panience. Mogę postać bo historia krótka. Nu powiem prawdę, był ja jakiś czas zły na ojca... na profesora, bo namawiał chłopów ażeby nie pili. Nu, ale teraz, kiedy pan hrabia zniżył czynsz od propinacyi, co mnie tam do tego, niech nie piją. Nu, ale wie panienka oni teraz właśnie bardzo piją. Siedzą ciągle w karczmie i wyrzekają na ojca (mówi ciszej) Powiadają, że przystał do dworu, że nie chcą go już na profesora. — Nu — ja nie wiem co jeszcze nie wygadują.

L E O N I A.

Czyż to być może... Lecz cóż by mogli mówić jeszcze gorszego?...

SZTORC (oglądając się na Karola).

Nu, mam mówić?

L E O N I A.

Przecież pan wiesz...

S Z T O R C.

Nu, właśnie, że on się ma żenić z panienką...

L E O N I A.

Lecz... Boże, czegoż się dowiem!...

KAROL (przystępując)

Leonio, co to?...

S Z T O R C.

Nu co?... Nic...

L E O N I A.

Mów pan, między nami nie ma tajemnic.

S Z T O R C.

Nu — jakby to powiedzieć?... Nu... oni się wybierają tu przyjść sami. Niech panienska ostrzeże ojca... Nu... a co oni tam jeszcze mówią... (nachyla się nagle ku Leoni i mówi do ucha) Nu, że hrabia chodzi tu nie dla profesora!...

L E O N I A (wstając).

Wielki Boże!...

K A R O L.

Leonio!... Przeklęty żydzie, coś wyrzekł!...

L E O N I A.

Karolu!... To człowiek uczciwy. Panie, dziękuję ci całym sercem.

S Z T O R C.

Nu — nie ma za co... Teraz pójdę, może ich jak udobrucham, ale na wszelki przypadek, dobrze, że panienska wie o tem (kłania się) Nu a pan niech nie będzie taki prędko. Żyd czasem jest także człowiekiem (odchodzi furtką).

K A R O L.

Co on ci powiedział?

L E O N I A.

Ach Karolu, co za straszny cios dla mego ojca. Chłopi, posądzają go, iż się związał z dworem przeciw nim, chcą go odsunąć. A... więc za tyloletnią pracę, poświęcenie bez granic, taka go czeka nagroda... Boże.. ojciec tego nie przeżyje.

K A R O L.

Przekłete chamy!... Lecz pójdę do nich i wyperwaduję im ten piękny zamiar, ale pałką!... Bo w ten tylko sposób można do nich skutecznie przemawiać.

L E O N I A.

Karolu, co za wyrażenia!

K A R O L.

Widząc cię tak wzburzoną, zmartwioną przez tych...  
czyż mogę słów dobierać... Pójdę...

L E O N I A.

Lecz na miłość Boga, nie z takim zamiarem. Pójdź  
do nich, lecz raczej... Lecz nie... nie... Zaklinam cię  
nie idź tam...

K A R O L.

Dla czego?...

LEONIA (biorąc go za rękę).

Proszę cię o to... Nie... nie chcę... Na twoją miłość...  
Boże, nie idź tam...

K A R O L.

Ależ Leonio... Pójdę się tylko dowiedzieć, może  
żyd skłamał... Puść mnie!...

L E O N I A.

Nie... nie... Oni pijani... oni mogą... aa... Boże  
(n. s.) On się tam dowie wszystkiego!...

K A R O L.

Ależ to dzieciństwo. Chociaż pijani wiedzą dobrze  
jak do kogo mówić.

L E O N I A.

(n. s.) Boże, co począć... (głośno) Nie, raczej tu  
pozostań. Słyszałeś że żyd mówił iż mają przyjść... boję  
się o ojca!...

K A R O L.

Właśnie mi o to idzie by ich tu niedopuszczyć...  
Leonio... ależ to dzieciństwo... Puść mnie!... (wrywa  
rękę i wybiega furtką).

LEONIA (sama).

Poszedł!... ażeby usłyszeć słowa „hrabia tam chodzi  
nie dla profesora... „Aaa... więc dla kogoż... dla jego

córki! (po chwili) O, ojczy, taki cios, spada na twą biedną głowę... Lecz Boże wielki, czyż ludzie ci mieli by być pozbawieni zupełnie serca?... Nie... nie... to niemożliwe!... ten człowiek skłamał!... (po chwili) Skłamał?... a jednak hrabia tu przychodzi... był wczoraj, dziś... codzień... i zdaje mi się... że... a!... co za myśl szalona!... Ja miałabym być jego celem!... Nie!... to człowiek szlachetny, z sercem... zresztą ma poślubić Emmę... on ją kocha... Nie... jego tu sprowadza najszczerza chęć czynienia dobrego, a oni mnie posądzają... Posądzają?... Gdy ludzie są bardzo, bardzo nieszczęśliwi, posądzają nawet Boga, że nie ma nad nimi litości, a nie mieliby posądzać pana, jaki stosunek go wiąże z córką biednego człowieka!... Poeto... ileż w twych słowach prawdy... „Głuche cierpiących jęki... śmiech ludzki nieszczery, są hymnem tego świata.“ (zamyśla się).

## S c e n a V.

LEONIA, ANNA wchodzi furtką.

ANNA (widząc Leonia zamyśloną skrada się po cichu i całuje ją z nienacką w twarz mówiąc:)

To od Karola!

LEONIA (zmieszana)

Już się dowiedział!...

A N N A.

A o czym by się miał dowiedzieć?...

L E O N I A.

Nie, nic... myślałam o czym innym. Jesteś pocziwa, żeś mnie odwiedziła...

ANNA (siadając na ławce)

Stęskniłam się za tobą. Czemu nie przyjdiesz nigdy do nas?

L E O N I A.

Byłam niedawno.

A N N A.

Pięknie niedawno. Od przyjazdu hrabiego nie byłaś ani razu.

L E O N I A.

Mylisz się zapewne...

A N N A.

Jesteś ze mną nie szczerą (wstaje i obejmuje ją ręką). Do mnie nie przychodzisz, a gdy tutaj przybiegłam, wcale się mną nie cieszysz. Aniś mnie nawet nie pocałowała. Lecz wiem ja przyczynę!

LEONIA (z niepokojem).

Więc i ty już wiesz wszystko!...

A N N A.

A wiem, wiem. Lecz, siadajmy (siadają). Wiesz, wczoraj słyszałam przypadkiem rozmowę mego ojca ze Sztorcem. Mówili o Karolu.

L E O N I A.

Cóż mówili?...

A N N A.

Brzydko, szkaradnie... Ten Sztorc opowiadał, iż ludzie mówią, że ty nie chcesz Karola... i

LEONIA (przerywa).

Że ja nie chcę Karola?...

A N N A.

Tak, tak, i że teraz powinien się ze mną ożenić.

L E O N I A.

Z tobą?...

A N N A.

Ludzie już sami nie wiedzą, co nie wymyślić. Otóż słysząc to, tak byłam rozgniewana że wbiegłam do ojca i powiedziałam, iż wszystko to jest kłamstwem, bo on ciebie tylko kocha, a ty jego, i że macie się wkrótce pobrać... Widzisz więc moja kochana, że nie masz się na mnie za co gniewać, gdyż są to tylko plotki,

L E O N I A.

Za cóż bym się miała na ciebie gniewać?...

A N N A.

Bałam się, iż dowiedziawszy się o tem wszystkim, mogłaś mnie posądzić, że może tego sama pragnę...

L E O N I A.

Miałabym ciebie posądzać?...

A N N A.

Tak zimno mnie przyjęłaś...

L E O N I A.

Nie Anno, nierozumiem ciebie. Zkąd takie przypuszczenia. Że ludzie mówią, coż ty możesz być winna? A gdyby nawet i prawdę mówili, jeszcze bym się na ciebie nie mogła gniewać. Posłuchaj... bardzo być może, iż za Karola nie wyjdę.

A N N A.

Leonio, co ty mówisz?...

L E O N I A.

Widzisz, Karol mnie kocha, ale może i przestać kochać...

A N N A.

Zkąd te słowa Leonio?...

LEONIA (szybko).

To człowiek uczciwy, dobry... Lecz widzisz, ludzie mu powiedzą, że hrabia tam chodzi... nie dla profesora...

A N N A.

Boże!... ty mówisz jak w gorączce!

L E O N I A.

Słuchaj... ty nie wiesz wszystkiego... Za chwilę przyjdą tu ludzie, wójt, radni... cała gromada... i powiedzą do mego ojca... mego biednego ojca... Tyś się zaprzedał dworowi tyś pański sługa... a twoja córka... A... Karol... on już usłyszał te straszne słowa (wstaje) Anno... Anno... słyszysz... idą...

ANNA (wstaje i ogląda się).

Boże... co tu się dzieje!...



## S c e n a VI.

ANNA, LEONIA, WÓJT, WIEŚNIACY później  
JAZOWSKI.

L E O N I A.

O mój ojcie!...

ANNA (do ludzi).

Co was tu sprowadza?

W Ó J T.

Zwyczajnie panienko ludzie przyszliśmy do ludzi.

1. G O S P O D A R Z (przerywa).

Co tam z nią mówić, to dworszczynna.

W Ó J T.

Cicho!

2. G O S P O D A R Z.

Co cicho. Czy myślicie, żeście wójtem, to już nam i mówić przy was nie wolno...

3. G O S P O D A R Z.

Cicho no Jakóbie. My tu nie przyszli kłucić się, ani rozmawiać z temi panienkami, co im się tak nasz dziedzic...

L E O N I A (przerywa).

Ludzie, więc tak umiecie szanować siwy włos mego ojca! Więc za to, że był waszym ojcem, swatem, sługą, taka go czekała nagroda, iż znieważacie jego własne dziecko! Lecz ludzie poczciwi, wy kobiety, które macie ojców, mężów, dzieci, zaklinam was na ich zdrowie, szczęście, odejdźcie, zanim mój biedny ojciec się dowie, po coście tu przyszli... Ach... czyście z kamienia wykuci?...

A N N A.

Leonio, uspokój się... Biegnę po ojca, a on ich wnet uspokoi.

## 1. G O S P O D A R Z.

O my się tam bardzo boimy waszego ojca! (do Leonii)  
Gdzie profesor?...

LEONIA (wskazując na szkołę).

Tam, uczy wasze dzieci, jak kochać Boga i bliźniego.  
O ludzie, zaklinam was raz jeszcze...

ANNA (wybiegając furtką).

Uspokój się... wracam z ojcem... (wybiega)

## 2. G O S P O D A R Z.

Więc chodźmy do szkoły (idzie)

LEONIA (stając przed drzwiami).

Nie pójdziecie tam...

JAZOWSKI (ukazując się).

Co to wszystko znaczy?...

L E O N I A.

Ojcie... nie słuchaj... oni nie wiedzą co mówią.  
Prawda dobrzy ludzie, wyście tu przyszli tylko tak w od-  
wiedziny... Ojcie... oni... oni...

## 1. G O S P O D A R Z.

Co tam wiele bredzić!... Za mną... do szkoły...

J A Z O W S K I.

Co... pijani, mielibyście wchodzić do tego świętego  
przybytku... Idźcie, lecz pamiętajcie, że się tam będziecie  
rumienić przed własnymi dziećmi.

L E O N I A.

Ojcie uspokój się...

W Ó J T.

Posłuchajcie panie. Nie ma co mówić, ale odkąd  
nasz dziedzic przyjechał toście się zmienili. Wy już nie  
nasz. Powiadają nawet, że bierzećie od niego zapłatę...

## 2. G O S P O D A R Z.

Przystaliście na pański chleb, będziecie nam bunto-  
wać dzieci, a wolelibyście pilnować swojego gołąbka!...

J A Z O W S K I.

Człowieku, tylko po pijanemu, mogłeś coś podobnego powiedzieć i dla tego ci przebaczam!

W Ó J T.

Cicho bo Jakóbie. Otóż my się zebrali i uradzili, że, darujcie panie... ale my sobie poszukamy innego profesora...

L E O N I A.

Ojcze nie wierz temu. Oni tego nie uczynią... mówią tylko... bo...

J A Z O W S K I.

A jednak już powiedzieli. Dobrze więc stanie się wedle waszej woli... Chodź... dziecko... Sprzeciwiać się im nie mogę... i nie chcę... (zwraca się powoli z Leonią).

WÓJT (zastępując mu drogę zakłopotany).

Jeszcze panie słówko. (cicho) Odradzałem, lecz kilku w radzie przemogło. (głośno) Pierwej my jednak uchwalili posag...

L E O N I A.

Chodźmy ojcze... chodźmy...

W Ó J T.

I zebraliśmy ten posag... Oto jest... Co się uradzi to się i nie cofa... Przyjmijcie panienko.

L E O N I A.

(odmawia ruchem ręki poczem staje nieruchoma do końca sceny).

J A Z O W S K I.

Dziecko... Patrz... Chwila ta, czyni te odrębne jak ogień i woda... to tylko wierny obraz tych ludzi. Dobre z natury serce każe im być nawet tam dobrymi, gdzie są tak okrutni. Ludzie, żegnam was... Datku tego przyjąć nie mogę... Odchodzę jednak spokojny, bo pomimo wszystkiego wyście dziś już inni, bo pomimo waszej wiedzy wyście dziś już ludźmi.

## S c e n a VII.

Ci sami, ARTUR wbiega furtką, WIEŚNIACY ustępują się z uszanowaniem.

A R T U R.

Więc Anna prawdę mi powiedziała!... Ależ ludzie, wasze postępowanie jest niegodziwe. Nie macie nawet do tego prawa i na coś podobnego nigdy nie pozwolę! (do Jazowskiego) Oto owoce pańskiej pracy, pańskiego poświęcenia. Masz pan najlepszy dowód, iż wszystko jest tylko teorią, mrzonką! (do ludzi) Do domów się rozejść!...

WÓJT (kłaniając się).

My tu proszę wielmożnego dziedzica w naszym prawie.

A R T U R.

Cóż to... Niesłuchacie!...

J A Z O W S K I.

Ludzie, proszę was, a jest to może moja ostatnia prośba, rozejdźcie się. Powiedziałem przecież, że woli waszej usłucham... Odejdę, porzucę was, to miejsce jakby mi rodzinne, ten mój domek, porzucę wszystko, by iść dalej a dalej za jedynym celem mego życia. Bo choć stary już jestem w pracy mej nie ustnę. Ludzie wyście w błędzie! (wskazuje na Artura) Tylko ręka w rękę z takim człowiekiem, tylko razem wspólnymi siłami możecie dojść do tego, czego sami bezwiednie pragniecie. Jesteście dziś biedni, cóż was wzbogaci. Wyście dziś głodni... któż was nakarmi... któż wami pokieruje w chwili stanowczej. Za nim i z nim idźcie i nie zapominajcie, żeśmy wszyscy dziećmi jednej ziemi, jednej matki... żeśmy wszyscy karmieni jej mlekiem, że pierś jej biedna rozdarta, żeśmy powinni te rany goić... a nie jak wyrodki kaleczyć i jątrzyć niezgodą... Wy nam nie ufacie, a jednak ja w tę waszą nieufność nie wierzę... Wyście już na drodze odrodzenia... Chcąc czy nie chcąc, wyście już weszli na szlaki, które was zawiodą tam, z kąd was nie zepchnie już

żadna siła, bo staniecie obok wskrzeszonej naszej świętej wspólnej... ziemi ojczyściej! Żegnaj was!... Idźcie a Bóg niech czuwa nad wami!...

WÓJT (zakłopotany).

My bo panie nie myśleli to tak zaraz. Ot, może to i nie prawda co mówią... bo mi się widzi, że wy! taki nasz!...

I. G O S P O D A R Z.

Chodźmy... Naradźmy się jeszcze.

W Ó J T.

Panie, Bóg z wami. Myśmy ponoś źle radzili (do ludzi) Chodźmy!... (wieśniacy wychodzą zakłopotani).

ARTUR (patrzac na rozchodzących się).

Ja tych ludzi nierozumiem!

JAZOWSKI (znużony).

Dla tego też i oni nas nierozumieją. Lecz panie bądź dla nich takim jak dotychczas, lepszym nawet, bo na moje miejsce...

ARTUR (przerywając).

Nie myślisz pan przecież na seryo nas opuszczać... oni się cofną.

J A Z O W S K I.

Wątpię... Pomówimy jednak o tem (patrzy na Leonie stojącą nieruchomie) Leonio... co tobie?

LEONIA (jakby ze snu).

Ojciec mnie woła?... A... pan hrabia?...

A R T U R.

Pani zbyt wzruszona tą sceną...

J A Z O W S K I.

Dziecko, nie bierz sobie tego tak bardzo do serca... Bóg czuwa nad nami... Idź spocznij...

L E O N I A.

Ojciec wolę tu pozostać... Lecz tobie potrzeba spoczynku...

A R T U R.

Rzeczywiście... wejdź pan do pokoju... Na mnie proszę nie zważać... odchodzę...

J A Z O W S K I.

Posłucham więc rady, i żegnam...

ARTUR (podając mu rękę).

Do widzenia...

LEONIA (odprowadzając ojca).

Za chwilę powrócę!...

ARTUR (sam patrząc za nią).

Co za dziwna istota... To dziecko gór na pół okrzęsane a takie urocze... a tak pociąga!... (przechadza się) Czy też ona kocha Karola?... Nie... nie... nie... i tysiąc razy nie!... Prędzej bym uwierzył... iż w tej chwili noc.. jak żeby dziewczę to mogło pokochać człowieka jak on!.. (Tu po pod sztachety przechodzi powoli Karol, spostrzega Artura i odchodzi). Chyba w takim razie niebo porozumiałoby się nareszcie z ziemią (zamyśla się).

LEONIA (wchodząc).

Pan zamyślony...

A R T U R.

Chciałbym rozwiązać jedno zadanie, lecz siłę się nadaremnie...

L E O N I A.

Już je rozwiązałam.

A R T U R.

Jakto mam rozumieć?... Nie możesz pani przecież wiedzieć co miałem na myśli.

LEONIA (siadając).

My dzieci gór i swobody... my, których względy świata nie krępują... jesteśmy podobni do tych kwiatków polnych, które choć niebo nad niemi jasne i pogodne, tulą się biedne przeczuwając burzę...

A R T U R.

Słowa pani są mi co raz niezrozumialsze.

L E O N I A.

Usiądź pan... Opowiem bajeczkę... Na zielonej łące, w pośród mnóstwa kwiatów wyrósł raz zupełnie inny, kształtem i kolorem braciom swym całkiem nieznany. Lecz, że był cichy, skromny i łagodny, przyzwyczajono się wkrótce do niego, a nawet pozyskał i miłość i ufność swych braci... Rósł obok skromny bławatek a tak był blisko naszego kwiatka, iż go swym listkiem i muskał i pieścił, przed deszczem okrywał, a bracia sobie szeptali, że się kwiatki... pokochały... I cicho było na łące, a tylko mały strumyczek, szemrał coś tajemniczo. Aż naraz, wśród ciszy w powietrzu, pogody na niebie i trawki i kwiaty zaczęły swe główki przechylać i szumem swym przygłuszyły szmer strumyka. Tem on zdziwiony, wystąpił ze swego łożyska i dalejze sunie po łące aż byстрыm prądem swych fali... zalał kwiatków tysiące!... I czegoż się strumyk dowiedział stąpając po trupach trawek.. Niczego... bo gdy je zabił, zamilkły na wieki...

A R T U R.

Pani... ja cię rozumiem... a to co usłyszałem... przyspiesza tylko...

LEONIA (przerywa).

Cóż ma przyspieszyć?... Panie hrabio spojrzysz ku tym góróm. Nawet gorące promienie słońca, nie zdołają stopić tych odwiecznych śniegów!...

A R T U R.

A jednak, jedno tchnienie kochającego serca, jest w stanie wszystko skruszyć! Posłuchaj mnie pani. Na pierwsze wejrzenie, poznałem w tobie istotę wyższą. Pani nie możesz... nie powinnaś Karola...

LEONIA (wstając).

Nie powinienam... A, więc muszę mówić otwarcie...

Panie... ludzie mówią... Panie... Pan nie powinienes  
tu więcej przychodzić!

A R T U R.

Na Boga... coś pani wyrzekła!

LEONIA (szybko).

Ten człowiek, który jest gotów dla mnie wszystko  
poświęcić... a którego muszę zostać żoną... Panie...  
ten człowiek... ja go kocham!... (wybiega do domu).

ARTUR (sam).

Oną go kocha!... (zamyśla się).

Koniec aktu drugiego.



## A K T III.

*Scena przedstawia wielki pokój umeblowany w stylu staroświeckim. Po lewej stronie jedne drzwi — po prawej podwoje przystońnięte kotarami. Wprost wielkie gotyckie okno otwarte i widok na ogród oświetlony księżycem. Po lewej stronie stół, parę krzeseł i fotel. Na stole jedna świeca.*

### S c e n a I.

ARTUR, OKTAW. (Artur leży w fotelu).

OKTAW (stoi koło niego).

Arturze posłuchaj mnie i idź do swojego pokoju.

ARTUR (niecierpliwie).

Czy się dziś uwziąłeś na mnie... Obierz sobie co innego za przedmiot twojej troskliwości...

O K T A W.

Jesteś niesprawiedliwy — (po chwili patrząc nań).  
Arturze... do czego to wszystko doprowadzi?... Milczysz...  
Ciebie tu nie zatrzymuje chora ciotka.

A R T U R.

A... przecież raz... Było mi to od razu powiedzieć. Chociaż... przerachowałeś się tym razem... Ciotka zachorowała... a że prócz słabej Emmy nie ma tu żadnej kobiety, która by nad nią czuwała... uprosiłem więc córkę Jazowskiego i ona się poświęciła... pomimo doznanej prawie pogardy ze strony hrabiny. Z tą wniośki... sięgające zaprawdę aż...

O K T A W.

W sam rdzeń prawdy...

ARTUR (wstając).

Nie... głupoty ludzkiej.

O K T A W.

Arturze!

A R T U R.

Daruj... uniosłem się. Lecz pocóż mnie drażnisz, po co te posądzenia... Wiesz przecie... że pojutrze Leonia wyjdzie za mąż.

O K T A W.

I właśnie dla tego, że wiem o tem, proszę cię i zaklinam odejść z tąd...

A R T U R.

Dla czego miałbym odchodzić... Lada chwila mogą potrzebować mojej pomocy.

O K T A W.

Więc zostanę tu i będę czuwał...

A R T U R.

Ty... to nie możebne. Jesteś obcym... Nie... Emma...

O K T A W.

Emma?...

A R T U R.

Naturalnie... Emma potrzebuje swobody. Może i w tej chwili słysząc twój głos nieubrana, boi się tu wejść, a pragnie chwili spoczynku...

O K T A W.

Być może... Lecz za nim odejdę odpowiedz mi na jedno pytanie...

ARTUR (nadsluchując).

Cóż?

O K T A W.

Dla czego zamiast Leonii nie wezwałeś Annę do czuwania nad ciotką?

A R T U R.

Dla czego?... Nie przyszła mi na myśl...

O K T A W.

Więc to by ci było wszystko jedno?

A R T U R.

Naturalnie...

O K T A W.

Kiedy więc tak, a córka nauczyciela kilkuniedniowym  
czuwaniem zapewne zbyt zmęczona, pozwolisz, że przy-  
szlę tu Annę a Leonie potrzeba odesłać do domu.

A R T U R.

Jakto, teraz, w nocy?...

O K T A W.

Jeszcze nie jest tak późno...

A R T U R. (nadsluchując).

Będzie dość czasu jutro o tem pomyśleć!...

O K T A W.

Jutro może będzie za późno...

A R T U R. (patrzac nań).

Jakto rozumiesz... Z ciebie przemawia chyba zazdrość!

O K T A W.

Nie, tylko sumienie o którym ty zaczynasz zapo-  
minać. Człowieku pomyśl gdzie cię ta szalona miłość  
doprowadzi... Zabijesz Emmę... a czy na jej miejscu  
stanie obok ciebie Leonia u ołtarza?...

A R T U R.

Oktawie! Nie mogę się już nawet i gniewać na  
ciebie. Ty kochasz... kochasz Emmę. Czy sądzisz  
żem o nią zazdrośny? Weź ją sobie. Uczucia jej są  
tak słabe jak i ona cała. Czy ja ją poprowadzę do ołtarza  
czy ty, nie rozróżni nawet, byleby tylko była prowa-  
dzoną.

O K T A W.

Za siebie nie odpowiem, dla Emmy jesteś niespra-  
wiedliwym... a dla tej, którą kochasz, chcesz być katem.

Miłość łączy ją z innym człowiekiem, ma zostać jutro jego żoną, a ty wślizgujesz się pomiędzy nich, wzniecasz zarzewie zazdrości w sercu kochanka i wdzierasz się gwałtem w uczucia kobiety. Wprawnem twem okiem przeniknąłeś jej najskrytsze myśli. Tyś odgadł, że miłość jej dla tego człowieka nie jest tem uczuciem głębokiem, jakie ty byś potrafił wzbudzić w jej sercu... Cofnij się w stecz... spojrzij w przyszłość i zapytaj swego własnego sumienia, czy dziewczę to może stanąć obok ciebie? Czem ci więc będzie?...

ARTUR (rzucając się w fotel).

Czem?... A!... człowieku, co za słowa!... (zakrywa twarz rękoma).

O K T A W.

Arturze, posłuchaj mnie... Dzisiaj czas jeszcze... Jutro już może będzie zapóźno...

ARTUR (wstając nagle).

Nie... tyś szalony! Jak możesz podsuwać mi myśli niegodne uczciwego człowieka? A gdybym ją nawet i kochał? Czy sądzisz... Lecz wszystko to wymarzyłeś sobie... i doprawdy niepoznamę w tobie tego zimnego i wiecznie szydzącego Oktawa!... Życzę ci dobrej nocy!

O K T A W.

Szyderstwo ustaje tam gdzie się poczyna uczucie...

A R T U R.

Więc ty ją kochasz?

O K T A W.

Nie... lecz się nad nią lituję...

ARTUR (siadając w fotel).

Litość, to słowo zbyt wiele określające...

O K T A W.

A czy ty je rozumiesz? Nie... Bo gdybyś je pojmował, nie stawałbyś na drodze tego biednego żyjątko,

chyba na to tylko, by je zdeptać... Żegnam cię!... (wychodzi i spotyka w drzwiach Gómnickiego i mówi doń szybko) Przeprowadź pan tu natychmiast swą córkę! Panie są już tak pomęczone, że dłużej nie mogą czuwać. (wychodzi a Gómnicki kiwa głową potakując i mówi doń) Dobrze!

## S c e n a II.

ARTUR, GÓMNICKI.

GÓMNICKI (patrząc na Artura zamyszonego).

(na stronie) Przecież sobie przypomnieli że i moja córka jest na świecie. (głośno z ukłonem) Pan hrabia zbyt się męczy tem ciąglem czuwaniem.

ARTUR (spostzegając go).

Bynajmniej... Lecz cóż tu pana sprowadza?...

G Ó M N I C K I.

Nic... Myślałem tylko, że się może na co przydam,

A R T U R.

Dziękuję panu, w tej chwili nie.

GÓMNICKI (nieśmiało).

Możebym mógł zastąpić pana hrabiego... koniecznie potrzeba przespać się choć parę godzin.

ARTUR (niecierpliwie).

Nie... pozostanę tutaj... Czy masz pan jeszcze co do powiedzenia?

G Ó M N I C K I.

Miałbym tylko jeszcze małą prośbę do pana hrabiego... Panna hrabianka i Leonia muszą być już bardzo znużone... możeby pan hrabia pozwolił, by moja córka...

ARTUR (na stronie).

Sprawka Oktawa... (głośno) I owszem. W tem niestety zapomniałem, że nadużywamy sił tych pań... Proś pan więc córkę, ażeby była tak dobrą i jutro...

G Ó M N I C K I.

Dziś, zaraz ją przyprowadzę...

A R T U R.

Jakto... więc nie spi jeszcze?...

G Ó M N I C K I.

Jeszcze nie jest tak późno... Otóż niech pan hrabia namówi pannę Emmę by się położyła, Leonia może tu wypocząć... no a moja córka zastąpi ją przy pani hrabinie. Idę i wnet ją tu przyprowadzę (wychodzi na lewo).

A R T U R (sam, wstając).

Wszystko się przeciw mnie sprzysięga... Oktaw mnie odgadł... a i ten człowiek coś knuje (chodzi) Lecz czegoż się mam obawiać? Kocham ją... o... tak... kocham... Istota ta anielska zawładnęła całą moją duszą, sercem, wszystkiem. Wszak jej to mogę powiedzieć... (zwraca się ku pierwszym drzwiom na prawo) wszak ją mogę nazwać moją żoną! Moją żoną? (składa ręce na pierśsiach i zamyśla się).

### S c e n a III.

A R T U R, E M M A.

E M M A (wchodzi cicho).

Arturze... co tobie?...

A R T U R (przychodząc do siebie).

To ty Emmo?

E M M A.

Oczekiwałeś kogo innego?

A R T U R.

Zkąd takie przypuszczenie... tak tu ciemno, że cię nie poznałem (idzie do drzwi i pociąga taśmę od dzwonka).

E M M A.

Co czynisz?

A R T U R.

Każę podać światło (do służącego, który ukazuje się w drzwiach) Pozapalaj świece (służący zapala i wychodzi) Jakże się ma ciotka?

EMMA (idąc ku oknu).

Dzięki Bogu znacznie lepiej.

A R T U R.

Idźże więc droga Emmo do swego pokoju... potrzeba spocząć.

EMMA (patrzac przez okno).

Jaka śliczna i pogodna noc.

A R T U R.

Lecz zawsze noc... a jesteś zapewne strudzona... więc...

EMMA (odwracając się).

Mam odejść?...

ARTUR (biorąc ją za rękę).

Jakim tonem to mówisz? Przecież mnie nie posądzasz, że cię chcę z tąd oddalić...

E M M A.

Oddalić?...

ARTUR (poruszając rękę).

Nie chwytajże tak za słowa...

E M M A.

Arturze uważam, że nigdy mych słów nie rozumiesz. Nie widziałam cię prawie cały dzień...

ARTUR (z rezygnacją).

Stęskniłem się również za tobą...

E M M A.

Czy tylko mówisz prawdę?... Bo widzisz nie wiem czemu, lecz zdaje mi się, że mama źle postępuje każąc się nam łączyć.

ARTUR (z pewną radością).

Może mnie nie kochasz?

E M M A.

Dla czegoż bym cię miała nie kochać?

A R T U R.

Tak, zapewne... Równie też zapytam, dla czego bym ciebie nie miał kochać?

E M M A.

Tyś taki poczciwy...

A R T U R.

A ty tak łagodna.

E M M A.

Moglibyśmy być szczęśliwymi... (wzdycha) Lecz czy będziemy?...

A R T U R.

Posłuchaj ~~no~~ Emmo... Mówmy bez ogródek... Matka twoja ułożyła nasz związek, nie pytając się nas wcale czy się na to zgadzamy lub nie... Sami nie wiedząc jak przystaliśmy jednak na to.

E M M A.

Z mojej strony wiedziałam co czynię...

A R T U R.

No... i ja wiedziałem... Ale się pomyliłem...

EMMA (żywo).

Jakto?...

A R T U R.

Myślałem że... że serce twe wolne... że z czasem potrafię je pozyskać...

E M M A.

Ależ ono do ciebie tylko należy...

ARTUR (ze zgrozą).<sup>2</sup>

Więc ty mnie kochasz?...

E M M A.

Czy po raz pierwszy odpowiem tak? Lecz Arturze co tobie... zdajesz się być tem zmartwiony!



A R T U R.

Zmartwiony... To radość maluje się na mej twarzy..  
Patrz uśmiecham się do ciebie... Lecz idź moja droga...  
idź... odpocznij... Noc już późna... Matka ma się lepiej...  
ja cię... odprowadzę...

E M M A.

Czy tylko będę mogła zasnąć...

ARTUR (biorąc świecę).

Zaśniesz... z pewnością... Po tak długim czuwaniu  
sen wnet przychodzi... i...

EMMA (przerywając).

Dobrze, więc posłucham twej rady (idzie za nim i  
nagle staje) Lecz Leonia sama zostanie...

A R T U R.

Sama... nie... powrócę tu...

E M M A.

Ty, sam z nią?...

A R T U R.

Ależ nie ja sam... Lecz prawda, niepowiedziałem  
ci, że kazałem przyjść Annie...

E M M A.

Bardzoś dobrze uczynił... Biedna Leonia taka zmę-  
czona. Zresztą wypada już odesłać ją do domu.

A R T U R.

A to dlaczego?... Ciotka tak do niej przywykła...

E M M A.

I polubiła ją nawet bardzo. Tylko z jej rąk przy-  
muje lekarstwo i Leonii usługa jest jej najmiłszą.

A R T U R.

Jakże się cieszę z tego obrotu rzeczy, bo ciotka była  
dla niej niedobrą...

E M M A.

Lecz zmierzałam do czego innego. Ślub Leoni ma  
się odbyć pojutrze. Potrzeba więc koniecznie, by już

wracała do domu. Musi się przecież przygotować... zresztą wypocząć... A cóżby jej narzeczony powiedział, że tak zmizerniała? A ona go tak kocha...

ARTUR (ponuro).

Czy ci o tem mówiła?...

E M M A

Czy raz? Leonia opowiadała o swoim... a ja o moim narzeczonym. Lecz widzę, że ten przedmiot rozmowy jest ci niemiły...

A R T U R.

Niemiły? (uśmiecha się) Owszem... bo wiesz... że dla jej ojca, którego lubię... Lecz chodźmy... (idzie ku drzwiom drugim na prawo).

E M M A.

Chodźmy...

ARTUR (zwracając się).

Czy ona ci to z pewnością mówiła, że go kocha?

E M M A.

Ależ z wszelką pewnością... Lecz Arturze cóż ciebie to może obchodzić?

A R T U R.

Mnie? No, naturalnie, że nic... Prosta ciekawość... bo wiesz, ktoś mi mówił... Lecz chodźmy...

EMMA (stojąc).

Cóż ci mówiono?

A R T U R.

Nic... podobnoś że go nie kocha, a pojdziesz, że w takim razie nie powinna iść za niego... Chodźmy (otwiera drzwi i wychodzi).

EMMA (wychodząc za nim).

Mylą się! Ona go kocha (wychodzi).

## S c e n a I V.

GÓMNICKI, ANNA (wchodzą drzwiami na lewo).

GÓMNICKI (idąc naprzód i rozglądając się).  
Nie ma już nikogo.

A N N A.

Jak tu czegoś straszno!

G Ó M N I C K I.

Straszno, w takim pięknym pałacu? Może tylko trochę za ciemno w tym pokoju...

A N N A.

Tyle świec się pali... Lecz nie o to idzie... tak tu cicho... ponuro...

G Ó M N I C K I.

Dzieciństwo! Chciałabyś ~~może~~, żeby w pokoju obok chorego było gwarno i wesoło jak na weselu? No, nie bój się... Nie zostaniesz tu przecież sama... lecz z Leonią.

A N N A.

A gdzie Leonia?

G Ó M N I C K I.

W tamtym pokoju. Biedaczka jest już tak znużona, że musi ją koniecznie ktoś namówić, by tu weszła odpocząć...

A N N A.

Idę więc (zwraca się ku pierwszym drzwiom na prawo).

G Ó M N I C K I.

Tylko powoli, żebyś hrabiny nie zbudziła... A pamiętaj namów koniecznie Leonię, by wyszła. Tu nie ma nikogo... może się wygodnie przespać.

A N N A.

O, namówię ją z pewnością (wychodzi).

GÓMNICKI (sam).

Jakoś im tu nie służy powietrze. Hrabina zachorowała... nudzą się... Nie będą tu długo popasać...

Dobrze że choć sobie przypomnieli iż mam córkę. Bardzo mi to było nieprzyjemnie zawsze i wszędzie nauczyciel i jego córka na pierwszym miejscu (patrzy w ogród) Noc jasna jak dzień. Lecz cóż to? ktoś chodzi... (zagląda) Coś tak jakby Karol... Czego on tu chce o tej porze? Lecz prawda, zapomniałem... zakochany do szaleństwa, a już kilka dni nie widział Leoni, więc myśli że ją bodaj przez okno zobaczy... (po chwili) Biedny chłopiec! Leonia nie dla niego... Anusia co innego... Ho... ho... dobrze ją widzę, iż córka profesora wpadła już hrabiemu w oko... Daj tylko Boże, żeby się to źle nie skończyło... (patrzy w ogród) Pójdę chyba i namówię, by lepiej poszedł spać... jak żeby się tu kręcił jak ćma. (wychodzi na lewo).

## S c e n a V.

LEONIA później ARTUR.

LEONIA (sama, wchodzi i rozgląda się).

Nie ma nikogo... a tyle świateł... Taką ich mnogość widziałam dotąd tylko w kościele... (rozgląda się) Tak oświetlony jak pięknie wygląda ten pokój. A... okno otwarte!... (biegnie ku oknu) Tam u hrabiny powietrze tak ciężkie, duszne... a... oddycham... (patrzy w ogród) Noc... cisza... to czas spoczynku... Spoczynku (patrzy na pokój) Czy tu w tym pokoju... wśród tych świateł Gdybym usnęła a potem się nagle przebudziła... zdawałoby mi się... Boże... że chyba umarłam... (biegnie i gasi świece, zostawiając tylko jedną) Tak... Niechaj tylko łagodne światło księżycy przyświeca... (wraca do okna i opiera się o ramę) Noc... Przy wielu jej urokach, ma ona w sobie przecież coś strasznego!... Te światła i cienie to niby dziwne mamidła... Im więcej się w nie wpatrujemy... tem coraz inne przybierają kształty... i zdaje się chwilami,

iż to nasza przyszłość przesuwa się w mglistych obrazach, których pojąć niestety nie możemy. Aż sen dobroczynny zmrz(zy) nam oczy, a wesoła jutrzienka rozprószy nocne widziadła... (ogląda się) Sen? Jestem senna... (idzie ku fotelowi i siada) Tu... (wstaje) Nie... chciałabym blisko okna... powietrza... (przesuwa fotel pod okno i siada obrócona twarzą na pół do publiczności, na pół ku prawej stronie) A jednak, ta noc jest tak piękna! W noc taką nie chciałabym umrzeć... Wszystko wydaje się urocze... niebo i ziemia w takiej ze sobą harmonii jak barwna tęcza... (zamyśla się) Tyle już dni nie byłam w domu... Biedny ojciec... stęsknił się pewnie za mną... Ojciec... ja... wrócę... wrócę... do tego naszego domku... do ciebie... wrócę... (zasypia a silny promień księżyca oświetla ją).

ARTUR (wchodzi z prawej i staje uderzony jej widokiem)

Usnęła!... (patrzy na nią a po chwili zwraca się i bierze za kłankę ode drzwi) Niech spi spokojna!... (ogląda się i znowu patrzy) Raz jeszcze niech tylko spojrzę na ciebie... Leonio!... o, ja cię tak kocham (postępuje naprzód parę kroków — lecz cofa się szybko ku drzwiom).

LEONIA (przez sen).

Ojciec...

ARTUR (staje).

Ona mówi (słucha).

L E O N I A.

Czy... on... mnie kocha?... Nie...

ARTUR (podbiega szybko i kłęk).

O! chyba w niebie ujrzę zjawisko tobie podobne! (Leonia budzi się i patrzy nań bezwiednie) Istoto obleczone w białą szatę aniołów... Tyżes to... czy twój duch? Lecz słuchaj... Pierś ma wzburzona... serce przepełnione uczuciem... słowa cisną się na usta, a wymówić ich nie mogę... Tylko to jedno... jedyne... że cię kocham!

LEONIA (wstaje).

Słyszę szmer strumyka... słyszę jęk tych kwiatów  
a siła jakaś trzyma mnie w uwięzi...

ARTUR (wstaje).

Aniele słuchaj, to siła miłości... a pomimo potęg całego świata... kocham cię i ty mnie kochasz (obejmuje ją) O, tak dziewczę, choć usta tve milczą... serce twoje mówi za ciebie... Pójdź w moje objęcia.. rzuć wszelkie widma przeszłości... Tu... przy mnie.. na mojem łonie.. wiecznie złączeni pójdziemy tą drogą życia... miłości i szczęścia bez granic... O, droga, ubóstwiona istoto... pocałunek ten niechaj będzie przysięgą!...

LEONIA (wrywając się).

Przysięgą?... i on... Karol przysięgał... Boże co słyszę... co się ze mną dzieje...

ARTUR (chcąc ją objąć).

Leonio... to ja... O nie wypieraj się... bo tego nie zdołasz... Miłość nasza jest wyższą po nad wszystko!...

LEONIA (cofając się).

Miłość nasza?... Ten głos... (nagle patrząc nań) Hrabia! (zakrywa oczy).

A R T U R.

Hrabia!... Straszne słowo!... Że głupi motłoch widzi w niem coś więcej po nad czczy tytuł, dlatego ty istota wyższa miałabyś kaleczyć swe własne serce i moje zabijać. A gdybym był nawet i mocarzem całego świata, przede-wszystkiem byłbym tylko człowiekiem kochającym cię nad życie, nad Boga... nad wszystko! .. Leonio... dla czego zakrywasz oczy? dla czego zasłaniasz mi niebo, w którym radbym wyczytać słowo, którego nie chcą wymówić twoje usta... Leonio popatrz na mnie...

L E O N I A.

(podnosi z wolna głowę, składa ręce na piersiach i patrzy nań).

A R T U R.

Dla czego ten wzrok niepewny... pytający A... rozumiem cię... O, droga, czyż mogłaś wątpić? Czyż mogłaś sądzić, że miłość ma nie jest równie czystą jak biała gołąbka, której miano nosisz? Gołąbko moja... wyrzeknij słowo... a jutro... nazwę cię żoną!

L E O N I A.

Żoną?... (nagle idzie ku oknu, opiera się o ramę i patrząc w ogród, mówi) Patrz hrabio... Widnokrąg zakryty cieniami nocy... Tu księżyc rzuca jeszcze ostatnie promienie... a tam już się wynurza... zazdrośna jutrzienka... Rada by rzucić światło na te cienie nocne... aż póki nie zejdzie dumne słońce i silnym swym promieniem nie zepchnie wszystkiego w wieczne zapomnienie. Jutro zostanę żoną... (jakby do siebie) Ileż się mieści w tem jednym słowie... czy prawdy jasnej... czy tajemnic nocy.

A R T U R.

Tylko prawdy jasnej, czystej jak rosa poranna... Dwoje istot splecionych uściskiem miłości, dwie dusze złane w jedną świętą całość... dwa serca bijące jednym silnym tętnem... to obraz naszej przyszłości.

L E O N I A.

Naszej przyszłości?

A R T U R.

Lecz na Boga żywego... Leonio nie zostaniesz przecież żoną Karola...

L E O N I A.

Hrabio... patrz jutrzienka już się rumieni...

A R T U R.

A... nie... nigdy... Słońce się chyba zakrwawi... świecąc wam do ołtarza... Kobieto... ty skłamiesz przed Bogiem...

LEONIA (odstępując od okna).

Hrabio!

ARTUR (przerywając).

Nie wymawiaj tego przekłętego słowa... To ono nas dzieli... Leonio... zaklinam cię jednak na wszystko co ci święte... na Boga, na siwy włos twego ojca...

LEONIA.

Mego ojca? A ja o nim zapomniałam...

ARTUR.

Pomyśl jak będzie szczęśliwym, otoczmy go wygodami, podamy mu środki by mógł skuteczniej pracować na tej niwie, której poświęcił swe życie.

LEONIA.

Dość panie... Odpowiadać ci nie powinnam i nie mogę (zwraca się ku drzwiom na lewo).

ARTUR (zabiegając jej drogę).

Nie wyjdiesz!...

LEONIA (idzie ku drzwiom na prawo).

ARTUR (zabiegając znowu).

Ha, gdy nie pomogły prośby, błagania, więc siła ci wydrze to słowo, którym bije twe serce a którego twe dumne usta nie chcą wyrzec! (chwyta ją w pól) Szalony już jestem... moja miłość stała się tygrysią... i raczej umrzesz...

LEONIA (pasuje się).

Puść mnie...

ARTUR.

Nigdy, tyś moją dzisiaj i moją będziesz na zawsze...

LEONIA (wyrzyna się i biegnie ku drzwiom na lewo, w których ukazuje się Oktaw).

## Scena VI.

Ci sami, OKTAW.

LEONIA.

Panie ratuj mnie...



OKTAW (zasłaniając ją).

Nędzny!...

A R T U R.

Precz mi z drogi!... (chce go odtrącić a w tej chwili Leonia staje między Oktawem i Arturem i patrząc nań mówi z wytężeniem).

L E O N I A.

Panie tyś szlachetny! (a wskazując na pierwsze drzwi na prawo) a tam twoja droga, tam twa powinność...

A R T U R (spuszczając głowę).

Emma!...

L E O N I A.

Spojrzyj hrabio w koło. Złocisty ten pokój, nie dla mnie to klatka. Wolne ptaszę niech wolno buja po przestworzu. Ziemia i niebo oto jego gmachy, listek barwinku to jego korona, a promień słoneczny całem jego szczęściem. Tyś innego rodzaju i inne ci gniazdo uścielić. I tyś panie wolny, i tobie bujać, lecz bujać duchem wyższym po nad inne, sercem szlachetnem uszlachetniać inne, boś ty sokołem, nie wątłym skowronkiem, tyś stworzony do walki, bo masz siłę. Słowa twe wiecznie zachowam w pamięci, lecz panie ustąp, tędy moja droga (wychodzi szybko na lewo).

A R T U R.

Odeszła!... Lecz nie!... Na Boga ja ją zatrzymam (zwraca się ku drzwiom).

OKTAW (wstrzymując go).

Czekaj!

A R T U R.

Nie mój kochany, puść mnie. Zastanów się, co sobie ludzie pomyślą? Odeszła z tą sama jedna w nocy.

O K T A W.

Lepiej niech idzie sama, jak w twojem lub mojem towarzystwie. Tu ona już wrócić nie powinna.

A R T U R.

Już nie wróci! (idzie chwiejnym krokiem, rzuca się w fotel i zakrywa twarz rękoma).

OKTAW (patrzy przez okno).

Już świta. Lecz cóż to? jakieś cienie — ktoś chodzi — (zagłada) Nie mogę rysów rozróżnić, lecz zdaje mi się, że to Karol. Tak, to on! A więc widział wszystko! O, biedna gołąbko! (patrzy na Artura) zamknął ci już na wieki drogę do szczęścia. (do Artura) Wstań szlachetny i chodź spojrzij na swe dzieło. Zanim słońce zejdzie, ten człowiek ją zabije!

ARTUR (jakby ze snu).

Kto tu?

OKTAW (milczy chwilę, potem).

Nie poznajesz mnie? Oktaw, twój przyjaciel. Nucę ci piosnkę do snu!

A R T U R.

Do snu! (zrywa się) Lecz nie, ona nie może z tą tak odejść, muszę ją przebłagać.

O K T A W.

Już przebłagałeś, wszak wyrzekła, że słowa twe zachowa wiecznie w swej pamięci. Wiecznie! Arturze, czy rozumiesz znaczenie słowa wiecznie?

A R T U R.

Tak, prawda, ona to wyrzekła. Ta kobieta mnie kocha, a tylko jakaś siła szatańska dzieli ją odemnie. Nie, to nie może tak pozostać. Ja muszę rozciąć ten węzeł gordyjski (biegnie ku drzwiom na lewo).

OKTAW (zastępuje mu drogę).

Nie wyjdiesz!

A R T U R.

Szalony człowieku ustąp.

O K T A W.

Ciszej, zbudzisz ciotkę.

ARTUR (porywczo).

Ustąp!...

O K T A W.

Uspokój się, Emma usłyszy.

ARTUR (wściekły).

Nie puścisz drzwiami, więc tędy ma droga! (biegnie ku oknu, lecz Oktaw chwyta go).

O K T A W (cicho).

Szaleńcze patrz, tam Karol stoi.

A R T U R.

Karol?

O K T A W (puszczając go).

Czeka zapewne na ciebie. Teraz idź jeżeli masz ochotę.

A R T U R.

On na mnie? na mnie? (śmieje się dziko i idzie ku drzwiom na prawo).

## S c e n a VII.

Ci sami, EMMA (później Leonia).

ARTUR (cofając się przed wchodzącą Emmą).

Boże! Emma...

E M M A.

Nie mogłam zasnąć i zdawało mi się, że słyszę jakieś głosy, więc niespokojna... Lecz Arturze? co tobie, takiś błądy... Nie odpowiadasz? Panie Oktawie, co to znaczy?

O K T A W.

Nie wyspany, zmęczony. Właśnie miał się udać na spoczynek.

A R T U R.

Tak, tak. Jestem trochę zmęczony... (do Oktawa) Oddal ją na miłość Boga!...

E M M A.

Zanadto cię nuży to ciągłe czuwanie. Idź, wypocznij, zajmę twoje miejsce...

ARTUR (żywo).

Dobrze, idę...

OKTAW (do Artura na stronie).

Pójdziemy razem...

E M M A.

Czemu nie idziesz?

A R T U R.

Nie idę, bo jakże sama zostaniesz? Oktaw niech tu chyba czuwa z tobą.

E M M A.

Tu nie zostanę, pójdę do mamy...

OKTAW (do Artura półgłosem).

I zapytaj, gdzie się podziała Leonia?

ARTUR (żywo).

Nie, nie, widzisz, do mamy nie można. Wchodząc mogłabyś ją zbudzić...

E M M A.

Nie obawiaj się, wejdę cicho. Ale widzę, że dokąd tu stoję ty nie odejdziesz, a tak ci potrzeba wypoczynku... Do widzenia więc (zwraca się ku drzwiom pierwszym na prawo).

ARTUR (zabiegając jej drogę).

Nie, nie idź tam...

E M M A.

Dlaczego? Arturze, na Boga, ty coś ukrywasz przedemną...

O K T A W.

Nic pani. Lecz rzeczywiście Artur ma słusność, iż wchodząc mogłabyś pani zbudzić hrabinę... a sen jest dla niej najlepszym lekarstwem.

ARTUR (już nieco spokojniej).

Posłuchaj naszej rady i najlepiej odejdz do swego pokoju. Mnie już i tak senność opuściła, zostanę tu do rana...

E M M A.

A, wy coś ukrywacie przedemną. Boże, może matka moja bardzo chora, może...

A R T U R.

Ale zaręczam ci słowem honoru, że spi najspokojniej w świecie, (na stronie) to jedyny sposób... (do Emmy) Przekonaj się sama zresztą (odchylając drzwi na stronie) Ciemno dzięki Bogu!

EMMA (zaglądając).

Ha! teraz rozumiem wszystko... Boże... nie mam już matki! (Chwieje się a Oktaw ją chwyta i prowadzi na fotel).

A R T U R.

Oszaleje chyba. Ale Emmo słuchaj, matka twa zdrowa, spi tylko...

EMMA (mdlejąc).

Umarła...

O K T A W.

Podaj mi wody... zemdląta!...

A R T U R.

Ha, niech mdleje, niech umiera. Niechaj ja umrę, niechaj wszyscy giną...

OKTAW (odstępuje od Emmy).

O człowieku! Teraz dopiero poznałem całą twoją nicość. Dobrze, niech ginie. Czy jedna więcej lub mniej, cóż to ciebie obchodzi? Biegnij, tam może już czeka na cię trup drugiej. Idź, napawaj się jej widokiem i wyczytaj swe własne słowa zapisane na wieki w jej pamięci, ale zarazem i piętno twej hańby wyryte na martwym jej czole...

ARTUR (patrząc nań obłąkanym wzrokiem).

Wyryte piętno na martwym jej czole... Martwym? Leonio! ja cię tak kocham, a twe czoło miałoby być martwe, twe oczy zamknięte. Nie! to kłamstwo, kłamiesz! ona żyje i kocha mnie. Ale rozumiem, to ten

człowiek Karol, to on stanął między nią a mną. Ha, ja go zabiję... (Podbiega ku drzwiom na lewo, lecz staje jak wryty widząc wchodzącą Leonie).

L E O N I A.

Panie, bądź szlachetnym. Zapomniałam o ojcu... a jakież bym mogła podać mu powód, iż wracam o tej porze do domu (sposstrzega Emmę) Boże, ona tu, a więc jestem ocalona! (biegnie ku niej i kłęk).

A R T U R.

Leonie, nie omyliłaś się. Siła twego ducha jest tak potężną, że nawet szatan by przed nią ustąpił... Bądź zdrowa, na zawsze... (wychodzi powoli na prawo).

OKTAW (patrzac za nim).

Anioł musi zwyciężyć!

(Koniec aktu trzeciego).

## A K T I V.

*Scena jak w drugim akcie, tylko drzwi do domku Jazowskiego otwarte i umajone.*

### S c e n a I.

ANNA, KAROL.

ANNA (wieńcząc drzwi).

Czemuż pan tak chodzisz zawzięcie tam i napowrót? Czy jeszcze pan nie wyrachował, ile kroków jest ztąd do szkoły?

KAROL (stając).

Zastanawiałem się nad czem innym.

ANNA (podchodząc).

Ciekawa jestem nad czem? Pewnie, ile jeszcze czasu upłynie, nim się panu pokaże Leonia w sukni weselnej.

K A R O L.

Nie zobaczę jej więc przedtem?

A N N A.

Naturalnie, że nie. Zwyczaj tak nakazuje i nie możemy od niego odstąpić. Lecz jak widzę nie jesteś pan jeszcze ubrany.

KAROL (spoglądając po sobie).

Rzeczywiście.

ANNA (śmiejąc się).

Jakiż pan roztrzępany! Lecz nie pora do żartów. Lepiej idź się pan ubierać, bo czasu już nie wiele. Cóż? idź że pan...

K A R O L.

Idę, idę...

A N N A.

A stoisz pan na miejscu. Boże mój Boże, gdy nadejdzie ważniejsza chwila w życiu, gdzie też się podziwiasz wasza szalona odwaga? Wyglądasz pan tak pociesznie...

K A R O L.

Pociesznie? Cóż pani widzisz we mnie nadzwyczajnego?

A N N A.

Nieco bojaźni, a trochę powątpiewania!...

K A R O L.

To naturalne. Dokąd bowiem nie jest się pewnym posiadania...

ANNA (przerywa).

Co też pan mówisz? Nie wiedziałam, że mężczyźni tak nie wierzą do ostatniej chwili.

K A R O L.

Przeciwnie, może i zanadto wierzą i dla tego bywają oszukiwani!...

A N N A.

Co? Co pan wyrzekłeś? (patrzy nań i po chwili) Lecz z panem nie warto dzisiaj rozmawiać. O Leonii myślisz, a wyplatasz... (figlarnie) Otóż co do niej, gdybyś mnie pan ładnie, bardzo ładnie poprosił, to kto wie...

K A R O L.

Cóż by było?

A N N A.

Udawaj pan teraz niedomyślnego!

K A R O L.

Doprawdy, że nic nie rozumiem.



A N N A.

Niewinny baranek. Czy pan myślisz, iż nie wiem, dla czego pan tu stoisz i chodzisz i czekasz od godziny?... Pewnie dla mego towarzystwa, żeby mnie zabawić? O Leonie panu idzie, chciałbyś ją koniecznie zobaczyć bodaj na chwilkę. I nie lepiej mi to było powiedzieć otwarcie, niż wzdychać i zachodzić gdzieś o sto mil z daleka!... Lituje się jednak nad panem. Pójdę, a może mi się uda, wywabić tu Leonie. Zaczekaj pan (zwraca się).

KAROL (zastępując jej drogę).

Nie, nie czyń pani tego...

A N N A.

Niechcesz pan?...

K A R O L.

Zwyczaj na to nie pozwala. Zresztą i czasu już nie ma. Pójdę się ubierać. Tak przecież nie mogę iść do ślubu!

A N N A.

Jak pan to mówisz?...

K A R O L.

Jak zwykle...

ANNA (poważnie).

O, nie. Dotąd żartowałam, teraz zaczynam się pana obawiać!...

K A R O L.

Mnie, obawiać? Jeżeli jednak tak jest rzeczywiście, niechaj ci to będzie przestroga. Nie kochaj nigdy (zwraca się i wychodzi szybko furtką).

ANNA (sama patrząc za nim).

Co to ma znaczyć? Czy on zmysły stracił? (zamyśla się i po chwili) Nie, jaka ja zabawna, ot zwyczajnie, miłość tak mu głowę zawróciła, iż nie wie sam, co mówi! (idzie ku domowi) Oczywiście, cóżby zresztą mogło być innego? (staje) Przecież nic takiego nie zaszło (po chwili) Czyżby? prawda... tak, tak, przypominam sobie. Kiedy

opowiadałam Leonii o tej plotce, ona odrzekła: „On mnie kocha, ale może i przestać kochać!“ (po chwili) Ej, nie, Leonia mówi często tak dziwnie. Dlaczego by jej nie miał kochać? Nie żeniłby się z nią w takim razie. Ot nie warto i myśleć o tem (idzie ku drzwiom).

## S c e n a I I .

ANNA, GÓMNICKI ubrany świątecznie.

GÓMNICKI (wchodząc furtką).

Anno, zaczekaj.

A N N A.

Ojciec już przyszedł?

G Ó M N I C K I.

Byłbym nawet i prędzej przyszedł, gdyby mnie nie byli zawezwali do dworu.

A N N A.

Cóż tam słysząc?

G Ó M N I C K I.

Nic nowego. Hrabina już prawie zdrowa, kazała mi pozdrowić Leonię i wręczyć jej prezencik.

ANNA (biorąc).

Jaki śliczny pierścień!

G Ó M N I C K I.

Prawda? Ale i cenny, grubo wart.

A N N A.

To się Leonia będzie cieszyła!

G Ó M N I C K I.

Pewnie. Ale jest i drugi prezent.

A N N A.

Drugi? Od kogoż?

G Ó M N I C K I.

Od hrabianki. Patrzaj.

ANNA (biorąc).

Perły!

G Ó M N I C K I.

I to prawdziwe!

A N N A.

Perły, to łyzy. Niestosowny podarek ślubny!

G Ó M N I C K I.

Niestosowny? Żebyś tylko także dostała od kogo  
taki dar królewski!

A N N A.

Nie pragnę, i powiem nawet hrabiance.

G Ó M N I C K I.

Kiedy?

A N N A.

Gdy ją zobaczę, jutro... pojutrze.

G Ó M N I C K I.

Nie zobaczysz już jej, ponieważ wszyscy dzisiaj od-  
jeżdżają.

A N N A.

Jakto? tak niespodzianie?

G Ó M N I C K I.

U panów wszystko tak idzie. Dziś to, jutro tamto.  
Sami nie wiedzą, ani czego chcą, ani co robią. Lecz nie  
było tu Karola?

A N N A.

Był i odszedł.

G Ó M N I C K I.

Nie wiesz gdzie?

A N N A.

Owszem, poszedł ubierać się. Lecz ojczcie, nie wiesz  
dla czego Karol, taki... jakiś...

GÓMNICKI (przerywa).

Co? co przez to rozumiesz? Zwyczajnie jak przed  
ślubem. Czy mówił co z tobą?

A N N A.

To też właśnie, mówił tak dziwnie.

## G Ó M N I C K I.

Tak ci się może tylko zdawało! Ot pójdę po niego, bo i tak nie ma tu jeszcze nic do czynienia (idzie ku furcie) (na stronie) Czy on tylko nie ma czego złego na myśli? (wychodzi).

ANNA (sama).

Sama nie wiem dla czego, lecz dziwny mnie lęk bierze. O, te perły, to zła wróżba!... (zamyśla się).

## S c e n a III.

ANNA, LEONIA w ślubnej sukni bez welona i wianka.

LEONIA (wchodząc z domu).

Nad czem ma druchna tak duma?

A N N A.

Leonio, wychodzisz... a gdyby cię też kto zobaczył.

LEONIA (zbliżając się).

Czyżby się mnie uląkł?

A N N A.

Uląkł! Wyglądasz jak królewna z zaczarowanego zamku, a tylko ci brakuje... lecz jest, jest i to... Patrzaj oto perły i drogie kamienie.

L E O N I A.

Zkąd ten pierścień? (na stronie) On go nosił!

A N N A.

Hrabina przyszyła ci go w raz z życzeniami, a to od hrabianki.

L E O N I A.

Perły?... Jakie piękne! (bierze na szyję) Czy mi w nich do twarzy?

A N N A.

Ślicznie w nich wyglądasz. A jeszcze gdy twe jasne włosy zielony wianuszek okryje, to Karol... Lecz cóż to? zdejmujesz perły?

L E O N I A.

Ciężą mi zanadto... gdyby okowy.

A N N A.

Nie zdejmuj! Tak ci w nich ładnie... Uczyni to dla mnie.

L E O N I A.

Dobrze i tak nie długo je będę nosiła.

A N N A.

Nie długo?

L E O N I A.

Przecież perła nie jest ubraniem na codzien... Perła lekka jak piórko, a kilka ich razem, gdy okolą szyję, tak jakoś ciężą, gniotą... (przypatruje się perłom) Nie chciałabym z wami przebywać za często. Jesteście jak kwiat konwali, ale zwiędły, martwy!

A N N A.

Po ślubie zrzucisz... No, a pierścień!

L E O N I A.

Pierścień? Nie...

A N N A.

Weź... Takbym cię rada ustroić, by cię cały świat podziwiał. Włóż go na mały paluszek, pokaż rękę (bierze jej lewą rękę i wkłada na średni palec pierścionek, który zlatuje i pada na ziemię) Za wielki! (schyla się i szuka) Lecz gdzież się podział? (oddala się nieco, a Leonia wpatruje się w jeden punkt na ziemi, potem schyla się nagle podnosi pierścionek, przyciska do ust i chowa w rękę) Leonio, patrzaj, może gdzie leży koło ciebie!

L E O N I A.

Jest... (pokazuje).

A N N A.

Dzięki Bogu, tak się zlekłam, żeby nie zginął!... Spróbuj na inny palec.

L E O N I A.

Nie Anno, za wielki... Patrzaj... Schowam go sobie tak na pamiątkę... Dobra hrabina! Nie wiesz czy już zdrowa?

A N N A.

Już prawie całkiem, czego najlepszym dowodem, iż dzisiaj wszyscy wyjeżdżają... Widzisz, dobrze mówiłam, że oni nie wytrzymają długo na wsi... Lecz Leonio, co tobie, tak zbladłaś.

L E O N I A.

Mówisz zem zbladła? Te perły takie zimne!

A N N A.

To zrzuc je lepiej...

L E O N I A.

Nie (idzie ku ławce) Jestem znużona, usiądę. Czy widziałas dzisiaj... Karola? (siada).

A N N A.

Był tu i chciał się z tobą koniecznie zobaczyć.

L E O N I A.

I czemuż się nie widział?... Czy był wesoły?... Tak bym pragnęła, by był szczęśliwy.

ANNA (siadając koło niej i pieszcząc).

Z tobą by nie miał być szczęśliwym!...

L E O N I A.

Będzie!... (szybko) Czyż nie wart, bym każdą chwilkę mego życia jemu poświęciła... Jemu i tylko jemu!... Anno... Pójdziemy już nie długo...

A N N A.

A pójdziemy!...

L E O N I A.

Otworzą kościół, ksiądz wyjdzie przed ołtarz, my uklękniemy i...

ANNA (wesóło).

I zostaniesz żoną ukochanego.

LEONIA (jakby do siebie).

Ukochanego!... I porzucę ten cichy domek, mego ojca, wszystko!... I pójdiesz za mężem za morza i lądy<sup>4</sup> bo jego ziemia będzie twoją, bo ty i on będziecie jedno... Anno... chciałybyś wyjść za mąż? zazdrościsz mnie?...

A N N A.

Tobie? bynajmniej. Chociaż gdybym kogo pokochała...

LEONIA (patrzac na nią).

Więc nigdy nie kochałaś?

A N N A.

Ja?... Nie... nigdy...

L E O N I A.

Nie znasz miłości?... Widzisz, miłość, to tak, jak światło wśród nocy. Ujrzysz je z daleka, koło ciebie ciemno... Przyjdiesz za blisko, to cię opali! I tak niepewna, to się oddalisz, to znowu przybliżysz, aż siła jakaś pchnie cię w ten żarem ziejący ogień. Rozum się mąci, serce bić przestaje, a duch ulata gdzieś w nieznane sfery. I leci i leci duch śmiały... aż się o niebios sklepienie otrze i niebios świętego powietrza zaczerpnie i niem tam żyje... i niem oddecha. Anno... chciałybyś kochać?

ANNA (zamyślona).

Nie wiem....

LEONIA (wstając).

Dziecko... Zapytaj tej trawki, czy chciała na to wyrosnąć, by ją zdeptała niebaczna stopa ludzka!... Spytaj to ptaszę, czy chciało się urodzić na łup żarłocznemu sępowi... A, jednak... (spozstrzega wychodzącego ze szkoły Jazowskiego i biegnie ku niemu) Ojczel!...

## S c e n a I V.

ANNA, LEONIA, JAZOWSKI.

JAZOWSKI (tuląc Leonię).

Dziecko moje, cóżeś tak smętna?... Patrzaj, słońce przyświeca, niebo jasne, ty jedna będziesz pochmurna w dniu twego wesela!...

L E O N I A.

Mam cię opuścić ojczyźnie, czyż mogę być wesołą?...

J A Z O W S K I.

Czyż twoje szczęście nie będzie i mojem? (patrzy na nią) Rozpogodź twarzyczkę!... Lecz co widzisz?... cóż to za perły?...

A N N A.

To dar od hrabianki (w czasie dalszej rozmowy wychodzi powoli do domu).

J A Z O W S K I.

Poczcwi ludzie, szkoda że nas opuszczają. Lecz dziecko, zkąd ten smutek na twym licu?

L E O N I A.

Nie jestem smutną. (uśmiecha się) Widzisz drogi ojczyźnie, jestem tylko jak ptaszę, któremu już czas wlecieć o własnych siłach, a niepewne jeszcze mocy swych skrzydełek, waha się i tuli do gniazdko (żartobliwie) Ale niechaj raz wzleci, daremnie matuś będzie w gniazdku świerkać... już niepowróci!...

J A Z O W S K I.

Niepowróci, bo sobie ulepi swoje gniazdko. Tam sobie zbierze zasoby do życia, tam spełni swój obowiązek, bo takie jest prawo natury! Lecz mówiąc twojemi słowy, czyż się w tem gniazdeczku nie znajdzie miejsce i dla starego inwalida, którego skrzydła ubezwładni starość?...

L E O N I A.

Czy się znajdzie? Lecz lot twój ojczyźnie pozostanie zawsze młody. Tyś nie z tych ludzi, co ich łamie życie.



J A Z O W S K I.

Dziecko, minął już czas, w którym pragnąłem wlecieć wysoko... wysoko... wzbic się po nad wszelkie przeszkody i ujrzeć spełniony cel mego życia. Leonio, ważna dziś chwila w twym życiu. Idź jej drogą, spokojna, wesoła, ale idź niezapominając o przeszłości, a bez chęci wdzierania się w tajemnice przyszłości. Życie, to praca ciągła a nieszczęśliwy jest ten, kto się ogląda na jej owoce. Spełniaj twój obowiązek, nie patrząc, kto zbierze zasiew, bo cię czekają tylko zawody!

L E O N I A.

Ojcze, czy słowa te podyktowało ci własne doświadczenie?... Może tak nie jest... Patrz ojcze, ludzie ci chwilowo zbłąkani, omanieni, zwrócili się wnet ku tobie i dzisiaj posiadasz napowrót ich zaufanie i miłość. Czyż nie jest to owocem twojej pracy?...

J A Z O W S K I.

Tu o mnie nie idzie... Cóż znaczy jednostka, gdzie trzeba tysięcy? Innych mam na myśli... Hrabia na przykład... (patrzy na nią).

L E O N I A (słabo).

Cóż hrabia?...

J A Z O W S K I.

Leonio!... Tyś zbladła!...

L E O N I A.

Ojcze!...

J A Z O W S K I.

Dziecko. nie wiem zkad, ale jakaś myśl szalona... Leonio, ty bledniesz!... Na Boga, ty ukrywasz coś przedemną...

L E O N I A.

Ojcze, litości...

J A Z O W S K I.

A, więc się sprawdziły słowa tego człowieka!

## LEONIA.

Jakie słowa?... jakiego człowieka?... Ojczy!...

JAZOWSKI.

Nie Leonio... Powiedz, prawda... To niemożliwe...  
Gołąbko moja, białe twoje pióra...

LEONIA (przerywa).

Ojczy nie mów tak na Boga! Zkąd te myśli... słowa...  
(na stronie) Boże litości! (głośno) Ojczy ja spokojna...  
Patrz byłam blada, wzruszona twojemi słowy, teraz ru-  
mieniec twarz mi okrywa... Ojczy spojrzysz, śmieję się do  
ciebie... Ojczy nie obawiaj się, Leonia twoja nie zapomni  
nigdy, czyją jest córką!

ANNA (w drzwiach).

Leonio, czas kończyć ubranie (wychodzi).

JAZOWSKI.

Dziecię, daruj staremu ojcu, ale ta myśl szalona,  
przeszyła mi serce jak błyskawica... Lecz jestem już spo-  
kojny (całuje ją w czoło) Idź, włóż na twe skronie zielony  
wianek, a Bóg niech będzie z tobą...

LEONIA (spostzegając Sztorca).

Boże, ten człowiek!...

## Scena V.

Ci sami, SZTORC.

JAZOWSKI.

Cóż to pana sprowadza?...

SZTORC (kłaniając się).

Dzień dobry. Nu byłem na poczcie, jest tam list  
do pana.

JAZOWSKI.

Do mnie?

S Z T O R C.

Nu, do pana. A że na nim jest napisano „pilno“ myślałem, iż należy pana zawiadomić.

J A Z O W S K I.

Dziękuję panu (do Leonii) Nie pojmuję kto może do mnie pisać...

S Z T O R C.

List z czarną pieczęcią! (w czasie dalszej rozmowy, odchodzi).

LEONIA (z pewną radością).

Ojcze, może moja ciotka...

J A Z O W S K I (patrzy na nią).

Leonio, ja te słowa twoje zrozumiałem.

L E O N I A.

Ojcze... zrozumiałeś?...

J A Z O W S K I.

A więc ty nie chcesz zostać żoną Karola?

L E O N I A.

Ojcze!

J A Z O W S K I.

Leonio, córko moja, więc to prawda!

L E O N I A.

Ojcze, posłuchaj... u nóg twoich zebrzę litości!...

J A Z O W S K I.

Dziecko moje!... (patrzy na nią i po chwili niemej walki mówi) Litości pragniesz, a gdzież ją znajdziesz jak nie tu przy mem sercu! Ono cię obleje miłością czystą rodzicielską, ono złagodzi cios, który odczuwam a którego nazwać nie chcą moje usta. Dziecię, oni nie dla nas... Inny ich świat, i świat też cały nas dzieli... Leonio... oby Bóg dał, by list ten był twojem zbawieniem! (wychodzi szybko furką).

LEONIA (sama).

Ojcze!... Poszedł!... O Boże litościwy, co się dzieje

z mojem biednem sercem? nie poznaję już siebie... Dla tego, że śmierć ciotki uniemożliwiłaby ślub, tem się ucieszyłam... Nie, szalona już jestem, nie wiem co myślę.. co mówię... (siada na ławce i zakrywa twarz rękoma) Boże wielki, czyż serce moje nigdy bić nie przestanie?... (zamyśla się).

## S c e n a VI.

LEONIA, KAROL wchodzi furtką nieubrany.

K A R O L.

To ona!... Kobieta, którą kochałem a która została kochanką hrabiego!... Leonio, czas do ołtarza!... (gdy mówi dalej, Leonia wstaje i patrzy nań) Czy pamiętasz, jak niedawno na tem samym miejscu przysiągłem ci, iż każde twe słowo, będzie dla mnie świętem... Słuchaj czas jeszcze, powiedz, że to wszystko fałsz, kłamstwo!... a wrota kościelne wnet się przed nami otworzą... Leonio... ty milczysz?...

L E O N I A.

Cóż mogę odpowiedzieć?...

K A R O L.

Co?... Jedno słowo... Powiedz żem skłamał, że hrabia nie był nigdy twym...

LEONIA (przerywa).

Dość tego!... Ażeby się bronić, potrzeba zawinić... a jam niewinna!...

K A R O L.

Niewinna!... (patrzy na nią) Chociaż ty się nie chcesz bronić, te perły mówią przeciw tobie. A, tyś już bezczelna!... Zkąd masz te perły?... Więc to hrabiego zapłatę ubierasz, mając iść ze mną do ołtarza!

L E O N I A.

Do ołtarza?... nigdy!... Słuchaj, za chwilę powróci mój ojciec...

KAROL (przerywa).

Żeby ci nawet i piekło przyszło w pomoc, drzyj bo nie wyjdiesz z tego tak gładko. Zemsta moja, dosięgnie cię, choćby i na drugim końcu świata!...

L E O N I A.

A więc mnie zabij, a nie potwarzaj!

K A R O L.

Mam cię zabić?... Nie... I wtedy nie mogłem cię zabić, kiedyś wyszła błada z pokoju hrabiego i skradała się ku domowi, jak cień nocny... Aleś mnie zobaczyła!...

L E O N I A.

Przysięgam, że cię nie widziałam... O gdybym była przeczują, iż byłeś tak blisko...

KAROL (szydząc).

Cóż... urwałaś... Śmiało tylko...

LEONIA (z wytężeniem).

Nie byłabym wróciła do domu hrabiego!... (nagle) Słuchaj, przed chwilą jeszcze chciałam twoją zostać. Karolu, myślałam że będę szczęśliwą, widząc ciebie szczęśliwym. Tyś jednak porwał struny mego serca, wydają one teraz same dzikie tony... już nie wiem co czynię, co mówię... Nas dzielą ludzie, świat cały... wieki... Twoją już być nie mogę, nigdy!...

K A R O L.

Bo kochasz hrabiego!...

L E O N I A.

Nie!.. Boże... (ściska czoło rękoma) Czy ja dobrze słyszę... Aaa.. nie... jam szalona!... (ogłąda się patrzy przez chwilę na Karola, i nagle wybiega do domu) Ja bym go miała kochać!... (wychodzi.)

K A R O L.

I ja tę kobietę kocham!... (zwraca się ku wyjściu)  
Lecz nie, miłość ta przesumi prędko... przy kieliszku...  
przy kochance... (staje) kochance? Nie... ożenię się z pierwszą  
lepszą (sposzrzega Gómnickiego) choćby z Anną!... oto jej  
ojciec!...

**S c e n a VII.**

KAROL, GÓMNICKI później ANNA.

K A R O L.

Cóż panie, czy zechcesz mnie za zięcia?...

G Ó M N I C K I.

Co ty mówisz? co tu się dzieje?...

K A R O L.

Co?... nic... Leonia zostanie i nadal kochanką hra-  
biego, a jeżeli pozwolisz, twoja córka moją żoną!...

G Ó M N I C K I.

Szaleńcze! (ogląda się) Więc zerwałeś?...

ANNA (w drzwiach)

Ojczel! Na Boga biegnij po doktora, Leonia zem-  
dlała... nieżywa!... (wychodzi)

G Ó M N I C K I.

Koniec świata, gdzież Jazowski?...

K A R O L.

Spiesz pan tam, ja lecę po doktora!... (wybiega furtką).

G Ó M N I C K I.

Dla Boga, co tu się dzieje?... (wchodzi do domu).

**S c e n a VIII.**

ARTUR, OKTAW, w strojach podróжных.

O K T A W.

I pytam cię, po co tu idziesz?

A R T U R.

Ot widzisz, nie ma nikogo, musieli odejść do kościoła...  
Tak bym pragnął, zobaczyć ją choć raz jeszcze... (rozgląda się).

OKTAW (ruszając ramionami).

A pomyślałeś, czy jej sprawisz tem przyjemność?..  
Chodźmy z tąd. I tak ciotka z Emmą będą niespokojne.  
że nie jedziemy za niemi.

A R T U R.

Chwilkę jeszcze! (siada na ławce) Wszak nie powrócą  
tak rychło.

O K T A W.

Lecz mogą powrócić, a gdy cię tu ujrzy...

A R T U R.

Będzie to już po raz ostatni w życiu.

O K T A W.

Myślisz tylko o sobie, lecz pamiętaj że tu nie o  
ciebie ale o nią idzie.

A R T U R.

Nie mów tak, miej litość!... (po chwili) Oktawie, czyś  
ty nigdy nie kochał?..

OKTAW (ponuro).

Nigdy... Kochać, a tą miłością zabijać, to dzieło sza-  
tana!...

A R T U R.

A tyś aniołem!...

O K T A W.

Nie, tylko nie kochałem. Lecz chodź słyszę, czyjes  
kroki... Arturze chodź, ktoś tu idzie!...

ARTUR (wstając).

Leonio, duch mój jednak tutaj pozostanie!

## S c e n a X.

C i s a m i, wbiega KAROL.

A R T U R.

Ten człowiek tutaj...

K A R O L.

Hrabio, tyś ją zabił!...

O K T A W.

Szaleńcze, co mówisz?...

K A R O L.

Idź hrabio... (wskazuje na dom) Tam leży jej trup!...

A R T U R.

Na miłość Boga!... coś ty powiedział?... Ty kłamiesz...

K A R O L.

Kłamię?... Dwadzieście furmanek rozleciało się za doktorem, za chwilę on tu będzie i rzuci ci tę prawdę w oczy, a bodajby cię ona zabiła!...

A R T U R.

Szalony!...

O K T A W.

Cicho!... Jeżeli jest prawdą, co ten człowiek mówi, niechaj dzikie wasze głosy snu jej nie przerywają... Odejdźcie z tą... Arturze tyś przysiągł... Chodź za mną!...

A R T U R.

Aa... wobec jej śmierci ustają wszelkie przysięgi. Muszę ją zobaczyć!

OKTAW (zastępując mu drogę).

Nigdy... Ona ci wskazała drogę obowiązku, a przekleństwo ci, gdybyś z niej zstąpił.

A R T U R.

Oktawie... Miej litość... puść mnie!...



## S c e n a X I.

Ci sami, w drzwiach okazuje się Leonia wsparta na Annie.

A R T U R.

Boże!... Ona żyje!... (stoi dalej nieruchomy).

K A R O L.

Więc umarli wstają!...

LEONIA (wchodząc powoli wsparta na Annie).

Żyję... (uśmiecha się) Nie tak mi łatwo rozstać się z tym światem (ogląda się) Anno, gdzie mój ojciec?

A N N A.

Nie wiem... Lecz usiądź... jesteś tak osłabiona!...

L E O N I A.

Tam... na ławeczce... (siada, Anna staje koło niej)  
A... ojciec poszedł po list... Hrabio spodziewałeś się zastać tu wesele... a widzisz smutek... Nie będzie ślubu... Ten list...

KAROL (ponuro).

O!... nie będzie!... (zwraca się).

L E O N I A.

Gdzie odchodzisz, pozostań chwilkę... Zaraz ojciec wróci z tym listem... List z czarną pieczęcią... Ludzie smutek kirem oblekają... a jam w bieli... (patrzy na siebie)

O K T A W.

Jesteś pani zbyt osłabiona, nie mów tyle... Arturze... czas nam w drogę...

ARTUR (jakby ze snu).

W drogę?...

L E O N I A.

Podróż? (z wysileniem) Czy Emma już odjechała?..  
Podziękuj jej hrabio za pamięć... Te perły, pozostaną ze mną na zawsze, na zawsze!...

A R T U R.

Pani, nie mów tak, słowa te rozdzierają serce!...

Chwilowo osłabiona... wnet zdrowie powróci!... (na stronie).  
Co za męczarnia...

LEONIA (mówi jakby bezwiednie).

Czyż jestem niezdrową?... Nie... Zdaje mi się tylko, że wokoło mnie wszystko inaczej wygląda, że jestem lutnią o tak wątłych słabych strunach, iż lada podmuch wiatru wygra na niej jakieś dziwne tony (patrzy na Karola) Raz brzmią one wesoło, skocznie... niby hymn weselny... (patrzy na Artura) lub pieniem szczęścia, spokoju! (spogląda smutnie po sobie) a tu tylko ich tony łzawe... ponure... a takie zimne... (tuli się do Anny).

A R T U R.

Pani, rozumiem te słowa. Lecz na Boga, zaklinam cię raz jeszcze...

LEONIA (przerywa).

Hrabio!... (wyciąga z kieszeni pierścione) To dar od hrabiny. Panie... daj go Emie, ... Mnie zostaną perły..

OKTAW (biorąc)

Wyręczę Artura i oddam go Emie...

L E O N I A.

O!... uczyn pan to!... Co to za szmer?...

## S c e n a X I.

Ci sami, Wójt i kilku wieśniaków.

O K T A W.

Jacyś ludzie... Wójt i kilku innych.

WÓJT (zbliżając się).

Dzięki więc niech będą Najwyższemu, toż gołąbka nasza zdrowa!...

L E O N I A.

Zdrowa... widzicie, tyłkom jak kłós po burzy.

W Ó J T.

Lecz panienko, z kąd ta burza?... Wszak dzisiaj miał się odbyć wasz ślub... (patrzy groźnie na Karola).

K A R O L.

A, zakrawa na pogrzeb!...

L E O N I A (wstając).

Karolu, jeszcze jestem żywa!... Ludzie, świata tego ja nie chcę porzucić... Lecz gdyby... tu z wami zostanie mój ojciec. Bądźcie dla niego dziećmi, jak on był zawsze waszym ojcem. Idźcie z nim razem, a ja tam będę wam błogosławić (spozstrzega wchodzącego szybko Jazowskiego) Ojczec... (Oktaw pociąga za sobą Artura ku furtce, gdzie stają)

## S c e n a XII.

Ci sami, Jazowski.

J A Z O W S K I (tuląc Leonię).

Dziecię nieszczeniwe, odgadłaś. Siostra moja nie żyje!... Lecz cóż to Leonio? tyś blada... zimna...

L E O N I A.

Dla ciebie żyć będę!...

K A R O L.

(patrzy ponuro i wychodzi powoli).

J A Z O W S K I.

Dla mnie tylko?... (spogląda po innych) A ci, czyż nie mają do nas prawa?...

L E O N I A.

O tak!... dla ciebie i dla nich, bo w nich i ty żyjesz!...

J A Z O W S K I.

O ludzie... Ostatnia, to dla was moja ofiara i największa... Ale dzieci... to ptaszę, chce nas porzucić... Lecz my go nie puścimy, nieprawdaż?... My je otoczmy taką

miłością jakiej jej nikt nie da, bo czystem, prawdziwym uczuciem, wspólnego naszego dobra i szczęścia... Ludzie... niechaj wście to ptaszę, połączy nas tak, by już nas nic rozłączyć nie zdołało.

W Ó J T.

Pan Bóg niechaj dopełni słów waszych. Lecz panielko... wyście nasza gołąbka... i my was nie puścim!... Złączym się razem z waszym rodzicem i będziemy trzymać w klatce słowika!

LEONIA (marząc wsparta na ojcu).

Słowika!... Tony jego smętne... czy się wam na co przydadzą?...

Modrzewiu gałązka, kwiat biały jażminu,  
Lub w pośród błyszczących jarzębin karminu  
To pałac przezroczy królewskiej dzieciny  
Miłości tajemnic!...

Oblany on ławym księżycy promieniem  
Co z niebios nań spływa łagodnym strumieniem  
Królewskiej swej lubej zasyła witania,  
Miłości hymn nucąc...

A pienia te jego, na razie łagodne,  
Tak rzewne, urocze, dziecięcio swobodne,  
W co raz to silniejsze wzbijają się tony  
By arf stu oddźwięki!...

I zda się, raz płaczą, raz znowu się śmieją...  
Jak w chwili rozpaczy, lub szczęścia nadzieją.  
Aż cicho tam nagle!... Czy usnął ptaszyna?...  
Czy zamilkł na wieki!...

(tuli się do Jazowskiego).

J A Z O W S K I.

Pójdź dziecię spocząć... siły cię opuszczają...

L E O N I A.

O nie!... Ty pracy... ja tobie, złożymy w ofierze  
to złamane życie!... (odchodzą powoli ku domowi).

K O N I E C.